

DEBATA.

MIESIĘCZNIK REGIONALNY

tylko prawda jest ciekawa
Józef Mackiewicz

Maj



Aleksander Wotos

Bachmura

o czasach „zadowolonej świni”

Piórek

o przyjaciółach

Kobylińska

nie wierzy w przemianę po tragedii
kwietniowej

Falkowski

wspomina pogrzeb pary prezydenckiej

Chełminiak

o nadużyciach Jacka Żakowskiego

Kardela

o pożegnaniu Prezesa IPN

Warot

o ministrze Aleksandrze Szczygłe

Rozmowa Debaty z dr. Paulem Cameronem

Kardela

o „Rezonansie”

Chazbijewicz

o Sergiuszu Piaseckim

Kotliński

o Agnieszce Osieckiej

Necio

o utopii internacjonalizmu

Brenda

o Czesławie Czyżu ps. „Dzik”

Kowalczyk

o przewrocie majowym

Felieton Adamskiego

Czacharowski

wiersz „Zwiastun”

Bętkowski

o dziejach placu Jana Pawła II cz. III

Wesprzyj finansowo niezależne i wolne medium

„Fundacja Debata”, ul. Boenigka 10/26, 10-686 Olsztyn, nr konta bankowego: 26 24 90 0005 0000 4500 1354 7512

Czasy „zadowolonej świni”

Jest oczywiste, że z Instytutem Pamięci Narodowej tak dłużej być nie mogło. Trzeba powiedzieć uczciwie – perswazji, ostrzeżeń, a nawet gróźb ze strony najważniejszych ludzi partyjnej koalicji było tak wiele, że normalni ludzie dawno by się opamiętali. Rzucono co prawda na pożarcie Jana Żaryna, szefa Biura Edukacji IPN, z roboty musiał się zwolnić Sławomir Cenckiewicz, autor książki „SB a Lech Wałęsa”, solidną naukę dostało też Wydawnictwo Arcana i Paweł Zyzak za biografię o Lechu Wałęsie, ale niestety, wszystko za późno. Przynajmniej o dwa książkowe zamachy na najwyższy, ostatni nasz eksportowy autorytet. Pokładanych w nim przez Platformę Obywatelską i przodujące autorytety nadziei nie spełnił prezes Janusz Kurtyka. Dlatego po interwencji prof. Franciszka Ziejki i powtórnym, głębokim namyśle Jego Ekscelencji Stanisława Dziwisza dla śp. Janusza Kurtyki zabrakło miejsca w kryptach kościoła św. Piotra i Pawła w Krakowie. Kilka dni przed jego tragiczną śmiercią marszałek Bronisław Komorowski powiedział: „Niszcząc Wałęsę, IPN służy wrogom Polski, bo podważa nasz jedyny żyjący autorytet znany w świecie. A to Polska marka i trzeba ją umacniać, nie osłabiać”. Czy w sytuacji, gdy losy nowej ustawy o IPN znalazły się niespodziewanie w jego rękach, rękach mogących powstrzymać działających na szkodę Polski historyków, marszałek mógł postąpić inaczej i ustawy nie podpisać? Albo chociaż odesłać ją do Trybunału Konstytucyjnego? Czy przed zmianą szkodzącego Polsce IPN mogły go powstrzymać wezwania kardynała Henryka Gulbinowicza, arcybiskupa Ignacego Tokarczuka, Jana Rulewskiego, czy apel mylnie pojmujących interes kraju wybitnych naukowców?

BOGDAN BACHMURA

Teraz z całą pewnością z pozytywnym dla wielu innych zagrożonych autorytetów wszystkim wróci do demokratycznej normy. Niezależność nowego prezesa będzie zależała od zwykłej partyjnej sejmowej większości, zamiast dotychczasowych trzech piątych, co z pomocą nowej „rady fachowców” pozwoli niewątpliwie określić właściwe kierunki badań. Dostęp do swoich akt uzyskają byli tajni współpracownicy oraz oficerowie i inni pracownicy organów bezpieczeństwa PRL. Ci ostatni będą mogli dodatkowo odświeżyć sobie pamięć dzięki dostępowi do wytworzonych przez siebie akt w ramach „pracy lub służby w organach bezpieczeństwa”. Rodzącą się nareszcie po śmierci prezesa Kurtyki swojską, rodzinną atmosferę zdaje się potwierdzać diagnoza Bogdana Borsewicz, zapowiadającego początek końca lustracji, która, zdaniem marszałka Senatu, w „przypadku elity politycznej w zasadzie

dobiegła końca”. Wprawdzie śp. prezesa Kurtykę świerzbiły ręce do odtajnienia kilku tysięcy teczek z tzw. zbioru zastrzeżonego, ale w porę niebezpieczeństwo udało się zażegnać. Teraz do ocalenia przed niepowołanymi historykami pozostają fundamenty III RP, a przede wszystkim rola wywiadu wojskowego i cywilnego w procesie tzw. transformacji ustrojowej. Na stawienie czoła ewentualnemu zagrożeniu dla aktywnych do dzisiaj w życiu publicznym osób „znowelizowany” IPN został jednak dobrze przygotowany.

Za to u nas bez większych zmian. Po miesięcznej przerwie na łamy „Debaty” wraca „Archiwum IPN”, a wszelkie teorie na temat jego końca są mocno przesadzone. Pomimo wielu, często nieuniknionych, sporów i podziałów w środowisku dawnej opozycji, publikacje Piotra Kardeli i Pawła Warota cieszą się z tej strony jednoznacznym poparciem i przychylnością, a tutejszych Komo-

rowskich czy Niesiołowskich szczęśliwie brak. To dla nas bardzo ważne, bo nie zawsze trudności i przeciwności przychodzą stąd, skąd się ich spodziewamy.

Prawnie niezwykle istotnym, choć z punktu widzenia autorytetu lokalnego Kościoła zupełnie niepotrzebnym wydarzeniem, był dwukrotny proces auto-lustracyjny ks. prof. Cypriana Rogowski, którego przypadek współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa przedstawił na łamach „Debaty” Paweł Warot. Niestety, nie znalazł się nikt, kto powstrzymałby przed tym krokiem byłego dziekana wydziału teologii UW-M. Jakby nie dość było tego wstydu, uznany kłamcą lustracyjnym przez sądy dwóch instancji były TW Kamil pofatygował się w drugim dniu narodowej żałoby do olsztyńskiego IPN, krzycząc, awanturując się, miotając obelgi i groźby pod adresem Pawła Warota i naszego miesięcznika. Ponieważ mamy do czynienia z przypadkiem szczególnej buty i zakłamania u człowieka szkockiego aktywnie przez osiem lat Kościołowi i donoszącego na swoich braci w kapłaństwie, sprawa ta nie może być przemilczana. Nie mogąc pełnić funkcji dziekana, jest obecnie kierownikiem katedry katechetyki wydziału teologii UW-M. Historia Kościoła na Warmii naznaczona jest czynami wielu wspaniałych kapłanów, których opór wobec ciemnych sił komunizmu pozwolił na zachowanie religii i niezależności Kościoła. Takich, jak ks. Adalbert Zink, rządcą diecezji warmińskiej w latach 1951–1953, aresztowany za osamotniony opór (wobec milczącej zgody reszty Episkopatu) przeciw aresztowaniu prymasa Stefana Wyszyńskiego. Historia człowieka, to dzieje odwiecznego sąsiedztwa zdrady i wierności, zaprzęstwa i męczeństwa. Tak było zawsze i nic w tym nadzwyczajnego. Problem w tym, że coraz częściej nie ma pewności, czy nadal „lepiej być niezadowolonym człowiekiem”, czy może jednak „zadowoloną świnią”.



Prezes Stowarzyszenia „Święta Warmia” i „Fundacji Debata”, politolog, publicysta

BOGDAN BACHMURA

DEBATA – miesięcznik regionalny

Redaktor naczelny: Dariusz Jarośniński, tel. 604 59 37 44, e-mail: info@debata.olsztyn.pl; www.debata.olsztyn.pl. DTP: Bogdan Grochal
Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Wydawca: „Fundacja Debata”, ul. Boenigka 10/26, 10-686 Olsztyn, nr konta bankowego 26 24 90 0005 0000 4500 1354 7512.

Przyjaciele

Katastrofa prezydenckiego Tu-154M przeorała nie tylko smoleńską ziemię i polską scenę polityczną. Wydarzenia ostatniego miesiąca w krótkim czasie celnie podkreśliły, czym jest Polska, zarówno w oczach jej obywateli, jak i w oczach środowiska międzynarodowego. Media pokazały ogromną solidarność zaskoczonego tragedią społeczeństwa, płomienne mowy i puste gesty przedstawicieli obcych państw, ale też niezwykle ważne deklaracje ze strony tych kilku nielicznych, na których opinii bardzo nam zależało.

MAGDALENA PIÓREK

Świat zaczął mówić o Polsce nie tylko w kontekście kartofli i przekłamanych stwierdzeń o polskich obozach zagłady. Ze zdziwieniem odkrył „lepszą stronę” tragicznie zmarłego prezydenta, jego starania o przywrócenie historycznej prawdy, historię katyńską. Podkreślał wyjątkowość przeżywanej przez nas żałoby i oceniał zdolność instytucji państwowych do szybkiego udźwignięcia skutków smoleńskiej katastrofy. Po czym okazało się, że sami Polacy potrafią równie surowo i skutecznie oceniać tych, którzy pospieszyli nam z kondolencjami.

„No, you can't!”, zakrzyknęli natychmiast polscy internauci pod adresem Baracka Obamy na wieść o zatrzymaniu go przez chmurę wulkanicznego pyłu, przeinaczając jego hasło wyborcze, z którym parł do zwycięstwa w 2008 roku. Wytknęli państwu Europy Zachodniej, że nie liczą się puste deklaracje i podkreślili obecność na uroczystościach pogrzebowych pary prezydenckiej w Krakowie tych przedstawicieli państw, którym islandzki wulkan planów nie pokrzyżował. W mediach i w społeczeństwie natychmiast zawrzało. Sądząc po emocjonalnych reakcjach można by odnieść wrażenie, że wobec naszego kraju dopuszczono się pewnego rodzaju zdrady, której Polacy długo nie zapomną. Zareagowali niezwykle żywo, zupełnie inaczej niż mógłby zareagować przeciętny obcokrajowiec. Ten na wieść o licznych deklaracjach przedstawicieli niemal całego świata pokiwały głową, powiedziałyby „ok., ok.!” i obejrzałyby uroczystości w telewizji z popcornem na kolanach, mając gdzieś jakiegokolwiek symboliczne wymiary zdarzenia.

Na to przysłowiowe „ok.” raczej trudno w kraju, gdzie ocalałe z katastrofy prezydenckie godło, polska flaga i wieniec kwiatów w świadomości

ludzi stają się pełnym odzwierciedleniem słów „Jeszcze Polska nie zginęła”. W kraju, gdzie stoi się kilkanaście godzin w kolejce po to, by złożyć hołd zmarłemu prezydentowi i gdzie przywiązanie do symboli i tradycji jest tak silne, że gdy zabrzmiał dzwon Zygmunta, natychmiast mówi o tym cała Polska. Na gruncie sentymentalnej natury Polaków wybuchła fala wdzięczności wobec tych polityków, którzy mimo erupcji islandzkiego wulkanu zjawili się w Krakowie pociągami i samochodami. Prezydent Gruzji został niemal polskim bohaterem narodowym, a jego niezwykła i pełna determinacji podróż z USA do Polski stała się legendą.

Analizując wydarzenia ostatnich dni, można odnieść wrażenie, że choć Polska myślami i politycznym rozsądkiem dawno stanowi jedność z Zachodem, to jej serce najmocniej bije tam, gdzie jej korzenie. W regionie postsowieckim Polska nadal jest na pierwszym miejscu, podczas gdy im dalej na zachód od Odry jest tylko jedną z wielu. Wciąż bliżej nam z Czechami, z którymi razem opóźnialiśmy ratyfikację Traktatu Lizbońskiego. Nadal zależy nam na demokratycznej Ukrainie, o której już wiadomo, że na własne życzenie zamknęła sobie drogę do NATO. Budujemy most między Wschodem i Zachodem. Utożsamiamy się z Gruzją, żyjącą w mrocznym cieniu szczerzącej zęby Rosji.

Paradoksalnie obruszonej na niesłownych przyjaciół w biedzie Polsce bliżej dziś właśnie do Rosji. Rosji, której administracja pokazała światu zupełnie inną twarz. Nagle Moskwa zaczęła wierzyć łzom. Prezydent Miedwiediew i premier Putin potrafili zagrać na sentymentalnej naturze Polaków i wykorzystać korzyści płynące z tragedii smoleńskiej, które niespodziewanie spadły im dosłownie z nieba. Zginął prezydent, który

hamował ocieplenie stosunków polsko-rosyjskich, państwa bałtyckie nie mają teraz nikogo, kto by odciągał je od Rosji, a osierocona Gruzja nie doczeka się głosów poparcia. Ciepłe rosyjskie gesty pocieszenia jednocześnie zaskoczyły Polaków, ale i postawiły nas w niezręcznej sytuacji. Kilkoma słowami i obecnością na Wawelu prezydent Miedwiediew zamknął usta przeciwnikom Rosji, uświadamiając im, że ciężko będzie wrócić do dawnej retoryki i „ostrzegania Zachodu przed dzikim Wschodem”. Nagle okazało się, że głupio krytykować sąsiada, bo ów sąsiad powie, że Polacy to niewdzięcznicy, a zdezorientowany Zachód popuka się w przysłowiowe czoło.

O Katyniu mówi dzisiaj cały świat. Pytanie tylko, o którym Katyniu. Wypadek pod Smoleńskiem sprawił, że sprawa mordu na polskich oficerach wypłynęła na światło dzienne, ale jednocześnie zepchnął ją głęboko w cień. W tej sytuacji Rosja może sobie pozwolić na emisję filmu „Katyń” nawet codziennie, wiedząc, że to niewielka cena za to, że diametralnie zmieniło się jej postrzeganie w oczach środowiska międzynarodowego. W świetle ostatnich działań obu rosyjskich polityków tragedia sprzed lat mocno straciła na znaczeniu. Zatem „mówienie prawdy o Katyniu” i odtajnianie dokumentów na stronie internetowej jawią się teraz nie jako przyznanie się do winy, ale jako przejaw dobrej woli Rosji.

Wysłuchując się we współczujące słowa, jakie płyną do nas z Moskwy, nie można zapomnieć o prawdziwym obliczu naszego sąsiada. Cały świat mógł je zobaczyć w chwili, gdy Ukraina podpisywała z Rosją porozumienie o przedłużeniu obecności floty czarnomorskiej na Krymie. Ukraińska pomarańczowa rewolucja ostatecznie poszła w niepamięć, Polska przegrała starania wciągnięcia Kijowa w strukturę NATO, a Zachód nadrabiał miną.

Obca nam Rosja płakała razem z Polską na miejscu smoleńskiej tragedii. Ta prawdziwa i dobrze nam znana, uśmiechała się nad tekstem ukraińsko-rosyjskiego porozumienia. I był to uśmiech triumfu.

Absolwentka Stosunków
Międzynarodowych
Uniwersytetu Wrocławskiego



MAGDALENA PIÓREK

Teraz

Nie wierzę, że tragedia kwietniowa przyniesie przemianę, metanoję, katharsis. Jakkolwiek by to zwał. Nie wierzę, że przyniesie odnowę, zmieni oblicze polskiej ziemi, polityki i wyborców. Teksty, które czytam – opinie, komentarze, refleksje, to pobożne życzenia. Chcielibyśmy, żeby tak było. Niektórzy z nas, nawet bardzo. Żeby wizja Polski, polityka zmieniły się. Nie możemy jednak oczekiwać – tak myślę – że tak jak w drugiej Rzeczypospolitej, odżyjemy, ockniemy się, zrozumiemy. Nie sądzę, nie mam złudzeń. Nie mam nadziei, tak, jak większość w przeciwieństwie do mnie, ją żywi.

ZDZISŁAWA KOBYLİŃSKA

S kąd mój pesymizm? Nie tylko z ostatnich doniesień. Nie z tego, że nic nie wiadomo o przyczynach katastrofy, że szczątki ciał i rzeczy zabitych osób tkwią nadal w smoleńskim błocie, że rodziny są bezradne w obliczu wyjaśnienia prawdy. Nie z tego, że nie chcemy „zaogniać” stosunków z Rosją, do czego przez dziesiątki lat, zdaje się, przywykliśmy. Nie z tego, że już teraz widzę ślinę na ekranie, jad sączący się z fałszywie uśmiechniętych ust, zaciśnięte pięści, wystrzone spojrzenia i rysy twarzy, pozdrowienia prowincjonalnych pretorian, którzy już, natychmiast, chcą poprzeć silniejszego. Ale przede wszystkim z odrzucenia prawdy, z eliminacji tych najbardziej konserwatywnych, ideowych i uczciwych osób, które miały poczucie wielkości i zobowiązań, wynikających z prezydenckiej wizji idei polityki pamięci, tradycji i tożsamości narodowej.

Teraz chce się zaoferować nie pamięć historyczno – bohaterską, autentyczną i wzniosłą, która może być fundamentem

narodowej dumy, ale dać jak największej ilości ludzi „najpiękniejszą” i „najnowocześniejszą” wizję państwa w ich życiu, która nie wynika bynajmniej z prawdy i z realiów, ale z zapalczowości i chęci utrzymania władzy.

Igrzyska. To mi się teraz nasuwa. Kilkadziesiąt dni igrzysk. Jeszcze trochę złudzeń, upuszczonej krwi, nawet w przenośni. Bo, byleby do dnia wyborów. A potem, choćby upadek Rzymu, czyli Polski.

Patrzę właśnie kątem oka, któryś raz, na „Gladiatora” Scotta Ridley’a (przede wszystkim ze względu na muzykę L. Gerarda i H. Zimmera) i zastanawiam się – który z kandydatów mógłby być tym, skądinąd lubianym przeze mnie filozofem i władcą, Markiem Aureliuszem, pragnącym w przenośni, sanacji Polski? Komorowski, Kaczyński, Napieralski, Jurek? Komorowski – powinien pamiętać o swej przeszłości, nie tylko przecież politycznej. Każdy kto go zna, wie o czym mówię. Kaczyński – że nie wygra idei Lecha przy

pomocy liberalnej szefowej kampanii Joanny Rostkowskiej – Kluzik – przyjaciółki różnej maści lewaków, Napieralski, który płacze (wiem, że prawdziwie, bo młody) nad zmarłymi, poklepując równocześnie Jaruzelskiego lub Marek Jurek, który przecież zdaje sobie sprawę z tego, że teraz nie porwie tłumy? Żaden. Tak myślę! Choć jeden z nich wygra, i wiem już który, mimo pospolitych działań panowania nad tłumem i „pracowitych pszczołek”, które zdradzą każdy ideał.

Może kiedyś spotkamy się z prawdziwą ideą, z naszymi oczekiwaniami i pragnieniami, ale jeszcze nie teraz.

Może kiedy będzie już dość trupów odzyskamy prawdziwą wolność wyboru i tożsamości,

ale jeszcze nie teraz bo lud jest kapryśny, zapomina w ciągu dwóch miesięcy.

Był kiedyś sen, który zwał się Polska. Czy warto oddać życie za sen?

Ten sen jednak się kiedyś spełni.

Kiedyś w to wierzyliśmy i wierzymy!

Oddajmy Im hold.

Spotkamy się z Nimi, ale jeszcze nie teraz.

Nie teraz.

Dr nauk humanistycznych,
adiunkt na Wydziale Nauk
Społecznych UWM, etyk,
poseł na Sejm III kadencji.
zdzislaw.kobylinska@
uwm.edu.pl



ZDZISŁAWA KOBYLİŃSKA

Na Wawel!

W sobotę, 10. kwietnia 2010 r. rano, prowadziłem zajęcia z moimi uczniami. W pewnym momencie zaczęli rozmawiać – najpierw ci z końca sali, potem hałas pojawił się w kolejnych ławkach. Zaskoczyło mnie to, ponieważ nigdy nie miałem kłopotów z dyscypliną w klasie. Gdy jednak uczniowie w drugiej ławce zaczęli głośno dyskutować, przerwałem wykład o rusyfikacji w XIX wieku. Trzy razy musieli mi powtórzyć wiadomości, zanim pojąłem, co się stało. Były to szokujące wieści.

HENRYK FALKOWSKI

W niedzielę, 18. kwietnia, pojechałem pociągiem do Krakowa. Na Dworcu Głównym byłem przed czternastą. Co 15 metrów stały patrole policji, sporo harcerzy, sanitariusze, znajdowały się stanowiska z nadzwyczajnym wydaniem „Rzeczypospolitej”. Okolice dworca były nienatu-

ralnie puste – można było spotkać tylko służby. Gdy ruszyłem na Stare Miasto, Planty na wysokości Barbakanu były już wypełnione ludźmi.

Policja wpuszczała na Floriańską, a tłum ludzi narastał z minuty na minutę – mogłem tylko dojść do połowy długości tej ulicy. Postanowiłem obejść Rynek

wąskimi uliczkami, jednak wszędzie policja i barierki uniemożliwiały zbliżenie się do placu. Ludzie byli wściekli, widząc pustą przestrzeń między Rynkiem a barierkami. Potem widziałem w telewizji głęboki plan pustych uliczek wokół Rynku. Obrazem też można zakłamać rzeczywistość.

Chciałem dojść do szlaku królewskiego, marzyłem o miejscu na ul. Św. Idziego. Wszędzie jednak znajdowały się blokady policyjne, a tłumy ludzi narastały w bocznych uliczkach. Wszyscy powtarzali zasłyszane informacje – brak było niestety nagłośnienia. Na Rynku zażądano wyłączenia wielkiego ekranu – ludzie nie chcieli oglądać TVN.

Postanowiłem przebiegać się Plantami na Wawel. Omijałem kolejne blokady policji, większość umundurowanych przybyła spoza Krakowa, wiedzieli, co

mają robić tu i teraz, ale ogólnie dało się odczuć brak rzetelnej informacji. Kierowali ludzi ulicą Basztową ku Błoniom. Na wysokości Pałacu Arcybiskupów Krakowskich mieściła się największa blokada, mniejsza zaś na wysokości Rektoratu Uniwersytetu Jagiellońskiego. Udało się, przepuścili, plecaka po kontroli już nie zamykałem – byleby szybko, dzięki temu wyprzedziłem licznych oczekujących w kolejkach do kontroli.

Wreszcie dotarłem pod Wawel, stałem, może w szóstym rzędzie, a za mną zgromadziło się ok. 150 tysięcy ludzi. Wśród oczekujących dominowała młodzież, co bardziej odważni wspinali się na drzewa – stamtąd mieli najlepszy widok. Pozazdrościłem im miejsca, ale i ja nie mogłem narzekać, znalazłem się na wprost podejścia na Wawel. Kiedy w skupieniu oczekiwałem konduktu, nagle usłyszałem krzyki: „Schowaj, schowaj!” – to ludzie uniemożliwili rozwinięcie jakiegось transparentu. Policja nawet nie zdążyła zareagować, a ja, chociaż działo się to 5 metrów za mną, nic nie widziałem – było tak ciasno, że nie mogłem się odwrócić. Obok mnie wyczekujący komentują przemówienia Komorowskiego – krytycznie i Śniadka – entuzjastycznie. Nie używali nazwisk, jak ktoś mówił „Jarosław”, to wiadomo było o kogo chodzi.

Tymczasem z Wawelu wyszedł oddział wyższych oficerów – to oni będą wносить trumny, słychać było w oddali orkiestrę wojskową. Na podejściu ujrzałem episkopat in corpore. Dookoła panowała absolutna cisza, w tle bił Zygmunt i słychać było marsz żałobny. Trumna z Prezydentem znajdowała się w połowie podejścia na Wawel – i wtedy całe Planty zaczęły klaskać, wolno, z powagą, miałem wrażenie, że każdy robił to w rytm bicia Zygmunta... Kondukt żałobny zwrócił swe twarze na nas, a my w milczeniu klaskaliśmy, aż druga trumna z Panią Prezydentową przekroczyła bramę Wawelu. Wszyscy milczeli.

Dzwon przestawał powoli bić, a przerwry pomiędzy uderzeniami były coraz dłuższe. Równocześnie zegar wybił godzinę osiemną. Zapadła cisza, słychać było tylko śpiew ptaków nad Wierzą Srebrnych Dzwonów, na Plantach, w Krakowie, w Polsce...

Nauczyciel historii Olsztyn



HENRYK FALKOWSKI

„Endeckie” oblicze Jarosława Kaczyńskiego

Publicyści i politycy niechętni PiS ponownie wyciągają najcięższe armaty próbując zdyskredytować kandydaturę prezesa tej partii w kontekście zbliżających się wyborów prezydenckich. Coraz częściej wobec Jarosława Kaczyńskiego są wykorzystywane także chwytły poniżej pasa. Nie ma sensu rozwodzić się nad kolejnym chamskim, radiowym wyskokiem Wojewódzkiego i Figurskiego. Można tylko z troską pochylić się nad stanem kondycji moralnej i umysłowej tych panów, od których już chyba nikt nie oczekuje dobrego smaku i zdrowego rozsądku. Problem pojawia się wówczas, gdy do prymitywnej nagonki przyłączają się osoby, które z racji wykonywania swojego zawodu powinny dbać o poziom publicznej debaty.

MARCIN CHEŁMINIAK

Doskonałym tego przykładem jest redaktor Jacek Żakowski z tygodnika „Polityka”, który w swojej audycji na falach Tok Fm (7 maja 2010) stwierdził, iż J. Kaczyński tworząc Prawo i Sprawiedliwość czerpał w dużej mierze z tradycji ONR-u (Obozu Narodowo-Radykalnego). Dla wszystkich, którzy choć trochę orientują się w historii polskiej myśli politycznej, teza ta jest tak absurdalna, że aż trudno uwierzyć, że wygłosiła ją osoba chcąca uchodzić za poważnego publicystę. Przypomnijmy, że ONR powstał w wyniku rozłamu w Stronnictwie Narodowym w 1934 roku. W swojej deklaracji politycznej twórcy tego ugrupowania zapisali m.in., że „Żyd nie może być obywatelem Państwa Polskiego i – póki jeszcze ziemie polskie zamieszkuje – powinien być traktowany jedynie jako przynależny do państwa”. Porównywanie partii J. Kaczyńskiego do radykalnych nacjonalistów okresu międzywojennego, którzy w ramach swojej działalności bojówkarskiej atakowali na uniwersytetach żydowskich studentów kastetami i pałkami, a w ulicznych starciach z żydowskimi organizacjami (np. Bundem) używali nie tylko petard, gazu, ale nawet broni palnej jest wyrazem skrajnej nieuczciwości.

Jarosław Kaczyński – podobnie jak jego świętej pamięci brat – odwoływał się raczej do tradycji przedwojennego PPS-u, czyli obozu politycznego stojącego wówczas po drugiej stronie barykady niż polscy narodowcy. Piotr Semka na łamach „Rzeczpospolitej” trafnie pisał o zmarłym prezydencie, że „(...) był reliktem zapomnianej już tradycji PPS, która łączyła etos inteligenta czującego obowiązek troski o prostego człowieka z szacunkiem dla polskiej tradycji.

Z tej tradycji wyniósł niechęć do szowinizmu, do absolutyzowania pojęcia narodu. Daleki od religijnej ostentacji, ale kiedy trzeba było, potrafił ostro stwierdzić, iż nie dopuści do zdejmwania w Polsce krzyży”. Te słowa w znacznym stopniu można odnieść także do J. Kaczyńskiego. Najwyraźniej jednak dobre notowania prezesa PiS i mobilizacja zwolenników tej partii (co pokazało zebranie ponad 1,7 mln podpisów pod jego kandydaturą), powoduje że przeciwnicy J. Kaczyńskiego próbują dorobić mu nacjonalistyczno-endecką gębę. Nie jest to niestety jedyny przykład z ostatnich lat, kiedy sięgano po tego typu epitet (dla salonowców nacjonalizm to jedna z najgorszych obelg). To w końcu główny konkurent prezesa PiS do prezydenckiego fotela Bronisław Komorowski w 2008 roku w publicznym radio powiedział, że „w IPN rządzą popłuczyny po endecji”.

Jacek Żakowski jest nie tylko znany publicystą czołowego tygodnika opinii, ale również kształci w dziennikarskim fachu studentów. Tym bardziej więc nie powinien posuwać się tak daleko. Czym innym jest bowiem ostra publicystyka polityczna, a czym innym bezcelne pomówienia.

Dr nauk politycznych pracuje w Instytucie Nauk Politycznych UWM w Olsztynie



MARCIN CHEŁMINIAK

Z myślą o Ojczyźnie

10 kwietnia br. w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem zginął m.in. Prezes Instytutu Pamięci Narodowej, prof. dr hab. Janusz Kurtyka. Uroczystości pogrzebowe odbyły się trzynastego dnia później w Krakowie. Mszę żałobną nad trumną Zmarłego Prezesa IPN w kościele pw. Św. Piotra i Pawła odprawili ks. kard. Stanisław Dziwisz, ks. kard. Franciszek Macharski i ks. Józef Guzek. Tragicznie zmarły prof. Kurtyka spoczął w Alei Zasłużonych na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Z olsztyńskiej Delegatury IPN w uroczystościach pogrzebowych uczestniczyli naczelnik Delegatury dr hab. Grzegorz Jasiński i niżej podpisany.

PIOTR KARDELA

W pożegnaniu Prezesa Janusza Kurtyki oprócz rodziny, przyjaciół, znajomych, jak też licznych delegacji IPN z całego kraju, tudzież osób, które doceniały wkład Zmarłego w rozwój nauki polskiej, czy jako byłego działacza opozycji antykomunistycznej, uczestniczyli m.in.: wicemarszałek Senatu Zbigniew Romaszewski i minister kultury Bogdan Zdrojewski. Władze IPN reprezentowali wiceprezes Instytutu dr Franciszek Gryciuk, dyrektor krakowskiego Oddziału dr Marek Lasota i członek Kolegium IPN, a zarazem legenda „Solidarności”, Andrzej Gwiazda. W kościele można było zobaczyć też posła Jarosława Gowina i ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego. Obecny był także przewodniczący „Solidarności” Janusz Śniadek, kontynuujący swoją postawą w dobie żałoby narodowej najlepsze tradycje Związku.

W czasie uroczystości żałobnych zasługi Janusza Kurtyki dla ojczyzny wyrażone zostały nie tylko w okolicznościowych przemówieniach. Tuż przed mszą świętą wojewoda małopolski Stanisław Kracik odczytał postanowienie o nadaniu pośmiertnie Prezesowi IPN Krzyża Wielkiego Orderu Odrodzenia Polski. Wszyscy, którzy podczas mszy żałobnej zabierali głos przypominali prof. Janusza Kurtykę jako niestrudzonego bojownika o prawdę historyczną, wytrawnego badacza dziejów narodowych i doskonałego organizatora prac Instytutu.

Kustosz Pamięci Narodowej

Senator Zbigniew Romaszewski swoje przemówienie rozpoczął od stwierdzenia, że powołanie Instytutu Pamięci Narodo-

wej było jednym z „ważniejszych wydarzeń” w naszym dwudziestoleciu niepodległości. Mówił o misji IPN-u, jako próbie przywrócenia historii okradzionemu z tej historii narodowi polskiemu. „Dzieje Instytutu Pamięci Narodowej – zauważył wicemarszałek – wcale nie były łatwe i nie były proste... i nadal nie są proste”. Wspominając dokonania tragicznie zmarłego, senator Romaszewski stwierdził, że powołanie prof. Janusza Kurtyki na stanowisko prezesa IPN dało „przepięty impuls dla rozwoju Instytutu. Jego wizja Instytutu – oceniał mówca – jego energia, jego talent organizacyjny spowodowały, że to przywrócenie historii zaczynało być możliwe”. Zbigniew Romaszewski



Janusz Kurtyka

zauważył, że kierowanie IPN-em nie było „sprawą prostą”, bo podczas realizowania statutowych jego działań „często padały słowa, że trzeba patrzeć w przyszłość, a nie w przeszłość”. Wicemarszałek nie zgadzał się z takim podejściem. „To nieprawda! – oświadczył – O przyszłości możemy myśleć tylko na podstawie przeszłości, przeszłości, którą musimy znać. Tylko na

podstawie przeszłości możemy oceniać zagrożenia, sukcesy, oceniać dokonania ludzi, których w państwie demokratycznym mamy wybierać. Innej możliwości nie ma”. Alternatywą dla takiego zdrowego, twórczego podejścia do naszej narodowej historii, zdaniem wicemarszałka, jest „tylko wrócenie w fusów i propaganda”. Senator Romaszewski zauważył, co nie wszystkie media relacjonujące uroczystości pogrzebowe były łaskawe cytować, że „byli tacy, którzy przywrócenia tej historii się bali i ciągle się boją”, gdyż „ta historia zaczęła odgrywać istotną rolę w kształtowaniu naszego kraju, w kształtowaniu naszego narodu i nie wszyscy byli tym zachwyceni”. Właśnie z tego, zdaniem wicemarszałka, wzięły się „problemy z budżetem [IPN], który ograniczano, stąd ciągłe problemy z zadaniami, które powierzano absolutnie niewspółmiernie do możliwości, wręcz często groteskowe, stąd walka z Instytutem na wielu różnych polach”. „Ale tę walkę – Panie Prezesie – wygrałeś!” – podsumował wicemarszałek Romaszewski, po czym zakończył: „Instytut Pamięci Narodowej ustanowił nagrodę Kustosza Pamięci Narodowej. Teraz nikt nie zasługuje na nią bardziej, niż Ty”.

Nie z myślą o splendorach...

Po Zbigniewie Romaszewskim głos zabrał członek rządu Donalda Tuska, minister kultury i dziedzictwa narodowego,

Bogdan Zdrojewski. Minister w swojej mowie nadmienił, że miał okazję współpracować ze śp. Prezesem Januszem Kurtyką. Zdążył zatem dość dobrze Go poznać, zdążył – jak to ujął – „dotknąć Jego wrażliwości, nienagannyh manier, kultury osobistej”. W ocenie ministra Zdrojewskiego, to jakim był naprawdę prof. Kurtyka nie miało, co jednoznacznie oświadczył, „nic wspólnego z obrazem, który próbowano mu zbudować”. Ostatni projekt, nad którym panowie razem pracowali dotyczył przedsięwzięć związanych z „Rokiem kultury niezależnej”, kultury niezależnej – jak powiedział minister – doby komunizmu w Polsce. Bogdan Zdrojewski był „pełen podziwu i uznania” dla działań podejmowanych przez Prezesa IPN w tym zakresie. „Wiem dobrze też – mówił dalej nad Jego trumną – że w tej tragedii, w tym momencie, dość konsekwentnie powinno się pojawić wiele słów, zwłaszcza wobec Prezesa, słów: PRZEPRASZAM”. Po tej wypowiedzi rozległy się długotrwałe bra-

wa. Minister kultury i dziedzictwa narodowego żegnał Prezesa Janusza Kurtykę jako „strażnika pamięci”, „kustosza pamięci”, ale też osobę, która pełniąc najważniejszą funkcję w Instytucie Pamięci Narodowej niezwykle konsekwentnie szukała prawdy historycznej, a szukała jej – jak uściślił mówca – „nie z myślą o splendorach, ale z myślą o Ojczyźnie”.

Przemówienie w imieniu NSZZ „Solidarność”, której Prezes Janusz Kurtyka przed podjęciem pracy w IPN był aktywnym członkiem, wygłosił szef związku Janusz Śniadek. Jego wielkie zasługi dla Instytutu Pamięci Narodowej przypomniał z kolei w dłuższym wystąpieniu dr Franciszek Gryciuk. Wiceprezes IPN wyliczył powstałe za prezesury Janusza Kurtyki setki publikacji, opowiedział o licznych wystawach, działaniach edukacyjnych, jak również fundowanych przez Instytut stypendiach naukowych i doktoratach. Wiceprezes Instytutu mówił zatem o tym wszystkim, co było konsekwentnie pomijane w prezentowaniu oficjalnego obrazu IPN, a co stanowiło i stanowi o randzie i pożyteczności społecznej tej instytucji państwowej.

Dzieło nie umiera wraz z twórcą

Na uroczystościach pogrzebowych szczególnie silnie zabrzmiały słowa prezesa „Prawa i Sprawiedliwości” Jarosława Kaczyńskiego. List szefa PiS-u, osoby przecież osobiście również mocno doświadczonej skutkami smoleńskiej tragedii, odczytał prof. Ryszard Terlecki, były dyrektor krakowskiego Oddziału IPN, przyjaciel zmarłego Prezesa Instytutu, poseł PiS-u. Słowa Jarosława Kaczyńskiego zostały całkowicie zignorowane przez media, warto zatem przytoczyć większe fragmenty tego wystąpienia. Po zwróceniu się do najbliższej rodziny Janusza Kurtyki, prezes „Prawa i Sprawiedliwości”, napisał, że na pewno w Polsce jest wiele osób, które mogłyby bardziej kompetentnie opowiedzieć o Januszu Kurtyce – jak to napisał – „o Jego wielkości i dorobku [jako] wytrwałego historyka, męznego działacza opozycji demokratycznej w PRL, znakomitego animatora i sprawnego organizatora prac instytucji wolnej Rzeczypospolitej, prawego człowieka. Głęboko wierzę, że Jego rzetelni koledzy po fachu, badacze dziejów naszego państwa, teraz i w przyszłości, podejmą wysiłek ukazania dzieła tego bogatego, choć przedwcześnie przerwane, życia. Nie mam żadnych wątpliwości, że prawda o tym niezłomnym człowieku będzie dla nas i dla potomnych przedmiotem dumy i źródłem inspiracji. Będzie to prawda starannie oddzielona od półprawd i skrajnie

nierzetelnych opinii, które choć ozdabiane szumnymi frazesami, dyktowane były najczęściej przyziemnymi interesami. To samo dotyczy prawdy o dokonaniach wielu rzetelnych badaczy pracujących lub współpracujących z Instytutem Pamięci Narodowej w czasie prezesury pana Janusza Kurtyki”. Jarosław Kaczyński następnie pozwolił sobie na jedną osobistą refleksję: „Jako poseł i przywódca największego grupowa-

tragicznie przerwana kadencja potwierdziła, że w osobie pana Janusza Kurtyki mieliśmy wtedy do czynienia z kandydatem na stanowisko szefa placówki godnej jej nazwy – Instytut Pamięci Narodowej”. Prezes „Prawa i Sprawiedliwości”, podobnie jak jego przedmówcy odniósł się także do problemu prawdy historycznej. „Naród może rozwijać się tylko w wolności – oznajmił Jarosław Kaczyński. – Nie ma zaś wolności



Kościół Świętych Piotra i Pawła w Krakowie

nia w Sejmie miałem zaszczyt przyczynić się do tego, że 9 grudnia 2005 roku Sejm 332. głosami zaakceptował kandydaturę doktora habilitowanego Janusza Kurtyki na stanowisko prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. Kandydaturę tę wysunęło Kolegium Instytutu, nie ta czy inna partia. Moją zaś rolą było poznać kandydata, który był wtedy dyrektorem krakowskiego Oddziału IPN, legitymującym się imponującym dorobkiem naukowym. Przy bezpośrednim spotkaniu zrobiła na mnie wielkie wrażenie nieprzeciętna inteligencja mojego rozmówcy, lapidarny i celny sposób diagnozowania problemów i określania priorytetów. Przekonałem się, że mamy do czynienia z kandydatem, który także dzięki doświadczeniu w badaniu różnych okresów historii oraz doskonałej znajomości ważnych dla warsztatu historyka nauk pomocniczych zadba o rzetelne i niekonjunkturalne badanie prawdy. Jego

bez poznania i zachowaniu prawdy o przeszłości, zwłaszcza tej niedawnej. Pierwszą wartością, jaką powinien bezkompromisowo służyć IPN jest więc prawda. Trzeba ją poznawać, choćby obalała ten czy inny mit założycielski, narażała na dyskomfort tę czy inną wpływową osobę lub instytucję, burzyła hierarchię zasług i ważności arbitralnie ustaloną u zarania III Rzeczypospolitej. In-



Pracownicy IPN

stytut Pamięci Narodowej kierowany przez swojego wielkiego Prezesa, nieustannie narażał się tym, którzy w placówce tej chcieli widzieć raczej coś w rodzaju agencji narodowej amnezji, frontu cenzury pamięci czy swoiste ministerstwo prawdy historycznej w republice politycznej poprawności. Podziwiałem Prezesa Kurtykę – napisał dalej prezes PiS – za prawdziwe męstwo, z jakim znosił ataki wymierzone bezpośrednio w niego lub osoby współtworzące misję IPN, za mistrzowską powściągliwość, z jaką reagował na ataki albo przechodził nad nimi do porządku. Jeżeli musiał odpowiadać na publicznie stawiane mu zarzuty, to czynił to z opanowaniem i precyzją profesjonalisty, który wyraźnie góruje wiedzą, znajomością przedmiotu nad atakującymi. I wiedział, że najlepszą odpowiedzią będzie niestrudzone kontynuowanie misji Instytutu”. Prezes Jarosław Kaczyński swój list zakończył następująco: „Drogi Panie Prezesie! Dzieło stanowiące wkład do narodowej kultury i społecznej świadomości nie umiera wraz ze swym twórcą. Sens tej myśli zna najlepiej historyk Pańskiej miary. W dniu, w którym żegnamy się z Panem [prawda ta] jest dla nas pocieszeniem i zobowiązaniem. Dzię-

kujemy i pamiętamy Panie Prezesie. Odpoczywaj w pokoju”. Zaprezentowane słowa Jarosława Kaczyńskiego tłum uczestników uroczystości żałobnych wielokrotnie przezywał hucznymi brawami.

Na koniec głos zabrał syn prof. Janusza Kurtyki, który oświadczył, że Jego Ojciec na pewno by chciał, aby Jego dzieło było kontynuowane. Później był już tylko smutny, czarny kondukt żałobny ulicami Krakowa i skromny pochówek na cmentarzu Rakowickim.

... aż do ofiary życia.

Janusz Kurtyka w okresie PRL-u jako działacz jednej z antykomunistycznych grup opozycyjnych w Małopolsce, ułożył dla jej członków przysięgę organizacyjną, wzorowaną na rocie przysięgi Armii Krajowej. Brzmiała ona tak: „W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny, Królowej Korony Polskiej, przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Polsce, stać nieugięcie na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary życia”. Filip Musiał – historyk krakowskiego IPN-u i sekretarz redakcji,

stworzonych przez Janusza Kurtykę „Zeszytów Historycznych WiN-u” – w artykule pt. „Kustosz Pamięci” przypomniał słowa zmarłego Prezesa do prof. Ryszarda Terleckiego: „Naszą ojczyzną na pewno nie był PRL, zaś jedyne nadzieje wiązaliśmy z aktywnością opartą o poczucie wolności, budowaniem niezależnych środowisk i rozpoczynającym się pontyfikatem Jana Pawła II”. I rzeczywiście, jeśli spojrzymy na dokonania tragicznie zmarłego Prezesa IPN, to musimy zgodzić się z wnioskiem autora, że ojczyzną śp. prof. Janusza Kurtyki „była wolna Polska, czasami przyjmująca szatę Polski Podziemnej, a dążenie do niepodległości, suwerenności i prawdy kierowało Jego życiem”^{*}.



Dr historii, pracownik Delegatury Instytutu Pamięci Narodowej w Olsztynie.

PIOTR KARDELA

^{*} F. Musiał, *Kustosz Pamięci* [w:] *Janusz Kurtyka 1960-2010*. Opracowanie Oddziału BEP IPN w Krakowie, Kraków 2010.

Panie ministrze, gdziekolwiek Pan jest...

Minister Aleksander Szczygło, czy to jako szef resortu Obrony Narodowej, czy Biura Bezpieczeństwa Narodowego, bardzo interesował się działalnością olsztyńskiej Delegatury IPN. Ciekawiły go zwłaszcza podejmowane przez nas badania naukowe, to co ustalaliśmy z naszej trudnej polskiej historii, co pisaliśmy, co ukazywało się drukiem. Posiadał niemalże wszystkie wydawnictwa IPN, szczególnie zaczytywał się w publikacjach poświęconych „żołnierzom wyklętym”, lubił czytać nasze artykuły z „Debaty”. Uważał, że ujawnianie komunistycznej agendy jest słuszne i sprawiedliwe.

PAWEŁ PIOTR WAROT

Zdarzało się, że po lekturze tego czy innego tekstu telefonował, dzielił się uwagami, dopytywał o różne sprawy. Imponował wówczas swoją wiedzą historyczną i rozległymi zainteresowaniami, jak również przełożeniem tego wszystkiego na czasy obecne. Nas, historyków często zapraszał do siebie do Warszawy. Spotykał się również w Olsztynie. Wtedy z pasją rozwijał podejmowane przez nas tematy. Bardzo interesował się współpracą naszej Delegatury ze środowiskami kombatanckimi. Podejmował byłych uczestników walk o niepodległość z Olsztyna w Warszawie. Zdarzało się, że uczestniczyliśmy w tych spotkaniach. Nigdy nie zapomnę, jak w Zimnej Wodzie koło Nidzicy, miejscu związanym z majo-

rem „Łupaszka”, odznaczył wielu naszych kombatanów Złotym Medalem na Rzecz Obronności Kraju. Spotkał się z nami w Olsztynie również w dzień przed katastrofą pod Smoleńskiem.

Autentycznie podziwiałem Ministra za skuteczność działania. W wielu sprawach często był niezwykle pomocny. W chwilach największych ataków na moją osobę utwierdzał mnie w przekonaniu o słuszności odkłamywania najnowszej historii Polski. Zachowam w pamięci na zawsze, jak będąc u Niego w Warszawie podziwiałem wiszący monumentalny poczet największych polskich dowódców, poczynając od Mieszka I, przez Batorego, Czarnieckiego, Sobieskiego, a kończąc na Marszałku

Piłsudskim. Dało się wtedy wyczuć, że te wszystkie podobizny nie są tylko ozdobą, są ikonami bohaterów narodowych, którzy kierowali się jedną ideą, której na imię Polska. Tak też swoją służbę dla Rzeczypospolitej rozumiał Minister Szczygło i dawał tego wiele przykładów. Rozmawiając z Nim wiedziałem, że mam do czynienia z człowiekiem całym sercem oddanym Niepodległej.

Minęło zaledwie kilka dni od katastrofy smoleńskiej. Media podały już informację, że Rosjanie są w posiadaniu laptopów i wszystkich telefonów komórkowych ofiar tragedii smoleńskiej, które miały być wyłączone. Przeglądając swoją komórkę zauważyłem numer Ministra, wybrałem go, chcąc sprawdzić, jak jest naprawdę. Po kilku sekundach okazało się, że to kolejne serwowane społeczeństwu kłamstwo. W słuchawce usłyszałem głos Ministra Aleksandra Szczygły, który przedstawiając się poprosił o zostawienie wiadomości. Powiedziałem: Panie Ministrze, gdziekolwiek Pan jest, pozostajemy wierni idei. Polska jest najważniejsza.



Historyk, pracownik Delegatury IPN w Olsztynie

PAWEŁ PIOTR WAROT

Dajcie Polakom poznać prawdę o homoseksualizmie

Z amerykańskim psychologiem dr Paulem Cameronem
rozmawia Łukasz Adamski

Oblano mnie krwią zarażoną wirusem HIV (na szczęście mnie nie zakażono). Geje grozili mi niejednokrotnie śmiercią. Zamordowano również ulubione zwierzątko moich dzieci, które notabene musiały chodzić do szkoły z obstawą. Proszę mi wierzyć, że statystycznie homoseksualista jest dużo bardziej skłonny by popaść w konflikt z prawem niż heteroseksualista” – mówi w wywiadzie dla Debata znany amerykański psycholog dr Paul Cameron.

Łukasz Adamski: W 1973 roku homoseksualizm został wykreślony z listy chorób psychicznych. Dziś powszechnie się uważa, że jest on taką samą preferencją seksualną jak heteroseksualizm. Pan jednak twierdzi, że gejów i lesbijki można wyleczyć. Czyżby występował Pan przeciwko nauce?

Paul Cameron: (Śmiech) Nie, nie występuję przeciwko nauce. Ludzi można nie tyle wyleczyć z ich seksualnych pragnień, ile raczej można wyzwolić ich z tych pragnień. Tak samo jak wyzwalamy ludzi z chęci zdradzania swoich partnerów. To jest bardzo podobny proces. Jednak jest pewna różnica. Większość ludzi nie ma pragnień homoseksualnych i obrzydza ich akt homoseksualny.

Ł.A.: No tak, ale środowiska homoseksualne przekonują, że gejem czy lesbijką człowiek się rodzi.

P.C.: Nie ma naukowych dowodów na genetyczne lub biologiczne uwarunkowania homoseksualizmu (ani różnice hormonalne, ani różnice w budowie mózgu nie wpływają na orientację seksualną). Amerykańskie badania na setkach bliźniaków jednojajowych pokazały, że tylko w około 8% przypadków jedno

z nich miało orientację homoseksualną. To jest silny empiryczny dowód przeciwko genetycznym uwarunkowaniom homoseksualizmu.

Ł.A.: Jak wygląda leczenie z homoseksualizmu?

P.C.: Jest wiele różnych odmian terapii dla gejów i lesbijek. Religijna terapia najczęściej polega na modlitwie i duchowym aspekcie zmiany wewnętrznej osoby pragnącej pozbycia się pociągu



do tej samej płci. Ja swoim pacjentom pomagam się wyzwolić z homoseksualizmu poprzez naukę relacji z płcią przeciwną. To jest niezwykle ciężka praca. Skuteczność oraz dynamika terapii jest podobna do leczenia z każdego innego nałogu. Najważniejsze jest oddzielenie pacjenta od jego dotychczasowego życia. Trzeba odseparować go od innych gejów, klubów gejowskich, pornografii

i literatury gejowskiej. Ja staram się ich otoczyć przedstawicielami płci przeciwnej. Nie należy jednak zapominać, że to trudny i żmudny proces. Ci ludzie muszą zerwać z całym swoim dotychczasowym życiem i znajomymi. A dla nich homoseksualizm jest religią, ideologią i całym życiem towarzyskim. Zerwanie z tym wszystkim jest czasami dla nich niewykonalne. Warto nadmienić, że większość gejów i lesbijek uprawiało w swoim życiu seks z płcią przeciwną. Dlatego nie zawsze samo rozpoczęcie przez nich współżycia z osobami odmiennej płci oznacza sukces w terapii. Są dwa główne podejścia do leczenia homoseksualistów. Zwolennicy jednego są nastawieni tylko na pomoc samym gejom i lesbijkom jako jednostkom i nie jest ważny dla nich wpływ homoseksualizmu na społeczeństwo. Dla mnie rozbijanie przez nich społeczeństwa jest sprawą kluczową. I dlatego nalegam by trzymać ich z dala np. od dzieci.

Ł.A.: Oprócz kwestii pedofilii, która jak Pan utrzymuje, statystycznie występuje wśród gejów częściej niż wśród heteroseksualistów, w jaki sposób mogą oni szkodzić społeczeństwu?

P.C.: Głównym problemem są choroby przenoszone drogą płciową przez gejów. Będąc teraz w Polsce nie rozglądam się za kobietą, by uprawiać z nią seks. Pan będąc w USA też zapewne nie będzie robił wszystkiego, by przespać się z jak największą liczbą kobiet. To nie jest normalne zachowanie zdrowego człowieka. Homoseksualiści praktykują jednak tzw. „Sex Tours”. Geje mają nawet specjalne statki przeznaczone do sex podróży i zapewniam, że nie zatrzymują się w portach aby zwiedzać miasta.

Ł.A.: No, ale to ich sprawa, że uprawiają seks z wieloma partnerami. W jaki sposób nas to dotyczy?

P.C.: Seks analny jest niezwykle groźny i niebezpieczny, bowiem łączy się bezpośrednio z wymianą krwi, a więc sprzyja rozprzestrzenianiu się AIDS. A więc mamy ludzi, którzy podróżują po całym świecie i stosują niebezpieczne praktyki, które pogłębiają epidemię HIV. 76% chorych na AIDS to homoseksuali-

ści, a wśród nich zdarza się 45% wszystkich nowych zakażeń wirusem HIV. Do tego dochodzą inne choroby weneryczne oraz bardzo groźna żółtaczką typu C, która prowadzi do raka wątroby. Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze pewien element mentalności. Wśród gejów aktywna jest subkultura „darczyńców”. „Dar” to jest właśnie HIV, a zakażenie staje się rodzajem honorowej odznaki. Wiele klubów gejowskich organizuje spotkania, gdzie na zasadzie rosyjskiej ruletki sprzedaje się tę zabójczą chorobę.

Ł.A.: Przez głoszenie takich tez ma Pan łatkę głównego homofoba Ameryki. Gejowskie organizacje utrzymują, że został Pan wyrzucony z Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychologicznego (APA) ponieważ przeczył Pan nauce. Czy to prawda, że koledzy usunęli Pana ze swojej organizacji?

P.C.: W 1982 roku sam postanowiłem odejść z APA. W ramach oczerniania mojej osoby geje rozpuścili w Internecie plotkę, że mnie usunęto. Niestety, nawet polskie media ją podchwyciły. Jeden z naukowców z Capella University zawarł niedawno te oskarżenia w swoim tekście i teraz musi mnie, wraz z władzami tej uczelni, przeprosić. To jest precedens w USA. W ciągu ostatnich 6 miesięcy poproszono mnie o napisanie recenzji dla kilku pism, w tym dla „Southern Medical Journal”. W zeszłym tygodniu poproszono mnie o recenzję książki dla „Kanadyjskiego Stowarzyszenia Psychiatrycznego”. Niewiele osób ma okazję recenzowanie medycznych artykułów dotyczących psychiatrii i psychologii dla tak prestiżowych organizacji i pism. Gdybym był tak bardzo zdyskredytowany w środowisku psychiatrów i psychologów, to nikt nie prosiłby mnie o ocenianie prac moich kolegów po fachu.

Ł.A.: W ciągu ostatniego roku był Pan dwa razy w Polsce. Ilekroć miał Pan wygłosić wykład na polskich uniwersytetach pojawiały się protesty liberalnych mediów takich jak „Gazeta Wyborcza”. Kilka uczelni odwołało pańskie spotkania ze studentami. Czy można porównać wpływ gejowskiego lobby na życie społeczne czy media w Polsce do tego co się dzieje od jakiegoś czasu w USA?

P.C.: Niestety sytuacja w Polsce staje się powoli podobna do tej w USA. Wiele lat temu prawie odwołano mój wykład na Uniwersytecie w Massachusetts. Na szczęście organizacje broniące wolności słowa doprowadziły do tego, że wykład się odbył. Jednak uczelnia zorganizowała w czasie mojego przemówienia w sali obok imprezę gdzie rozdawano za darmo

piwo. Homoseksualiści są perfekcyjni w pozyskiwaniu wielu środowisk do wspólnej walki o swoje prawa.

Ł.A.: Dlaczego tak się dzieje? Czy to jest moda na bycie tolerancyjnym wobec gejów?

P.C.: Liberalowie (*liberał w rozumieniu amerykańskim to lewicowiec – przyp. Ł.A.*) są zacierzwieni w wierze w egalitaryzm. Oni po prostu chcą wierzyć, że wszyscy jesteśmy równi. Dokładnie jak komuniści. Liberalowie zdają się mówić: „cóż, jedni lubią heteroseksualizm, inni lubią homoseksualizm. Przyjemność powinna być traktowana równo”. Otóż nie! Heteroseksualizm to nie tylko hedonizm, ale również możliwość posiadania potomstwa i odpowiedzialność. Liberalowie ponadto wstydzą się osiągnięć Zachodu. Świadomość, że gdzieś indziej ludzie żyją w nędzy wpędza ich w poczucie winy. Uważają, że nie wolno cieszyć się z sukcesu innych ludzi. Wierzą również, że wszystkie grupy społeczne są sobie równe. Ja się z tym fundamentalnie nie zgadzam. Jako chrześcijanin wierzę np., że moja religia jest prawdziwa, co czyni ją lepszą od np. islamu.

Czasami myślę, że nienawiść do własnej cywilizacji pcha liberałów do chęci jej zniszczenia. Ich działania są tak destruktywne, że przypominają mi jakobinizm. Dobrym przykładem tego są ekolodzy. Ich zdaniem problemem dla istnienia świata jest człowiek. Gdyby człowieka nie było na świecie, to drzewa byłyby szczęśliwsze. A ja na to mówię – bzdura! Jestem człowiekiem i jestem panem stworzenia. Dbam o drzewa i zwierzęta, ale ludzie są dla mnie ważniejsi. Nie czuję się winny, gdy muszę zabić zwierzyne, by ją zjeść. Nie czuję się również winny, gdy muszę wyciąć drzewo, by postawić dom. To nie ja mam służyć zwierzętom i roślinom, a one mnie.

Ł.A.: Moim zdaniem ekologizm jest nową formą religii. Skoro odrzuciliśmy Boga, to musimy sobie znaleźć nowego złotego cielca. To spuścizna rewolucji francuskiej. Ale wróćmy do tematu. Gejowskie organizacje starają się przekonać, że są prześladowane i gnębione przez społeczeństwo. Jednak Pan jest osobą, która doświadczyła przemocy ze strony gejowskich aktywistów. Może Pan opowiedzieć co się Panu przytrafiło?

P.C.: Kilka razy mnie uderzono. Obiano mnie krwią zarażoną wirusem HIV (na szczęście mnie nie zakażono). Geje grozili mi niejednokrotnie śmiercią. Zamordowano również ulubione zwierzętko moich dzieci, które notabene musiały chodzić do szkoły z obstawą. Proszę mi wierzyć, że statystycznie homoseksuali-

sta jest dużo bardziej skłonny by popaść w konflikt z prawem niż heteroseksualista. To nie są zawsze weseli i mili ludzie. Nie uważam, że homoseksualiści powinni być prześladowani, ale na pewno powinni płacić wyższe podatki ponieważ obciążają szczególnie mocno służbę zdrowia. W USA 300 tysięcy gejów zmarło ponieważ inni geje zakazali ich HIV-em.

Ł.A.: Niedawno grupa homoseksualistów złożyła skargę na kanadyjskie agencje rządowe, które jej zdaniem, nie przeznaczają wystarczających środków na ich leczenie.

P.C.: No, sam Pan widzi. Duża liczba gejów leczy się różnymi koktajlami farmaceutycznymi. Roczny koszt leczenia jednego geja zakażonego wirusem HIV wynosi 45 tys. dolarów, czyli tyle ile zarabia przeciętny amerykański robotnik przez rok! Każdego roku w USA odnotowuje się 30 tysięcy nowych przypadków zainfekowanych gejów, a więc mamy ciągły wzrost kosztów ich leczenia. Dlatego uważam, że to oni powinni ponosić koszty za swoje leczenie, a nie podatnicy. Niech płacą dolara więcej za alkohol w gejowskich knajpach albo dodatkowe 5 dolarów za wstęp do gejowskiego klubu.

Ł.A.: A nie jest to tworzenie gett dla homoseksualistów?

P.C.: Oni sami sobie tworzą getta. Lubią przebywać w swoim towarzystwie. Samo istnienie klubów „Tylko dla gejów” jest tego najlepszym przykładem. W USA geje tworzą często własne osiedla mieszkaniowe. Tak jest np. w San Francisco, gdzie skupiają się wokół paru ulic.

Ł.A.: Naprawdę? Myślałem, że San Francisco to liberalne miasto.

P.C.: Nawet w tak liberalnym mieście wolą oni żyć w swoich enklawach. To jest w gruncie rzeczy normalne. Palacze lubią przebywać w towarzystwie innych palaczy, rodziny preferują towarzystwo innych rodzin.

Ł.A.: Wielu młodych ludzi w Polsce twierdzi, że nie powinniśmy się wtrącać w ich styl życia. Nawet jeżeli nie zgadzamy się z nim to jesteśmy zobligowani do tolerowania go. Może mają rację? Dlaczego mamy sprzeciwiać się związkowi gejowskim czy rodzajowi seksu jaki homoseksualiści uprawiają w swoim domu?

P.C.: Ludzie, którzy tak uważają nie są właściwie poinformowani o zagrożeniu jaki płynie z takiego stylu życia. Już wspominałem o ogromnym koszcie leczenia gejów, który spada na barki całego społeczeństwa. Niech sobie geje uprawiają seks w swoich domach czy klubach. Jednak gdy zaczynają się ich problemy zdrowotne, to do kogo idą? Jednak nie

omówiliśmy najważniejszego problemu – molestowania dzieci. Według wyników kilku badań – zrobionych także przez instytuty przyjazne środowiskom homoseksualnym, jak Instytut Kinseya, oraz same środowiska homoseksualne – zazwyczaj ponad 20% homoseksualistów (których w społecznościach jest od 1 do 5%), mających dorosłych partnerów seksualnych, przyznaje się do kontaktów seksualnych z nieletnimi w różnym wieku. Dane te potwierdzają także statystyki więzienne – jedna trzecia skazanych za molestowanie dzieci to homoseksualiści. Także wśród nauczycieli molestujących swoich uczniów jest 27% gejów.

Dzieci są naszą przyszłością. Żadne dziecko nie powinno być poświęcone, by dorośli mogli się lepiej czuć w społeczeństwie. Młodemu ludziom, zarówno w USA jak i w Polsce, wmawia się, że tolerancja jest wielką cnotą i wspaniałą rzeczą. Jednak nie tolerujemy przemocy. Nie tolerujemy nawet palenia w miejscach publicznych! Geje nic nie wnoszą dla społeczeństwa, za to skutecznie je rozbijają.

Ł.A.: Nawet Kościół katolicki ma problem z homoseksualistami w swoich szeregach. George Weigel pisał, że większość księży pedofili w USA było homoseksualistami.

P.C.: Raport „John Jay”, który można łatwo odnaleźć w sieci, mówił, że 4% księży w USA było przyłapanych na aktach pedofilskich. Ostatnie poważne badania pokazują, że około 30% księży w amerykańskim Kościele katolickim to homoseksualiści. Wiemy, że 81% wszystkich molestowanych przez księży dzieci stanowili chłopcy. To nam daje pogląd ilu homoseksualistów, a ilu heteroseksualistów jest winnych molestowania dzieci w USA. A pamiętajmy, że większość ofiar molestowania nigdy nie zgłasza się na policję. Moim zdaniem około 2% heteroseksualistów i około 25% homoseksualistów odpowiada za molestowanie dzieci w amerykańskim Kościele. Kościół w USA jest zdewastowany przez pozwy sądowe ofiar. Teraz okazuje się, że podobne afery miały miejsce w Irlandii czy Niemczech. Hierarchowie kościelni niestety uwierzyli psychiatrom, którzy wmówili im, że homoseksualizm jest normalną preferencją seksualną.

Ł.A.: Kilkanaście miesięcy temu miss Kalifornii Carrie Prejean została pozbawiona korony tylko dlatego, że stwierdziła, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny. Co możemy zrobić by takie szaleństwo politycznej poprawności ominęło Polskę? Możemy w ogóle cokolwiek zrobić?

P.C.: Najważniejszą rzeczą jaką możemy zrobić jest edukowanie młodych ludzi, że każdy dobry obywatel ma obowiązek robić trzy rzeczy: respektować prawo, dawać społeczeństwu więcej niż może wziąć oraz żenić się i płodzić dzieci. Homoseksualiści nie są w stanie wykonać żadnego z tych trzech obowiązków. Cokolwiek by nie robili, to i tak nie mogą mieć dzieci. Statystycznie Polka rodzi średnio 1,3 dziecka. Jeżeli tego nie zmienicie, to za 45 lat będzie was o połowę mniej niż teraz. Homoseksualiści częściej niż heteroseksualiści popełniają przestępstwa na tle seksualnym, trzy razy częściej popełniają samobójstwa, częściej popełniają również wykroczenia na drodze i częściej zażywają narkotyki.

Wy, Polacy dostaliście szansę by zobaczyć, na przykładzie USA, do czego doprowadziło danie gejom przywilejów jakie posiadała do tej pory rodzina i gdzie nas zaprowadziła szeroko pojęta tolerancja. My, Amerykanie nie mieliśmy tego przywileju. Jednak dzisiaj nie pozwala mi się na polskich uniwersytetach prezentowania moich poglądów. Rektor Uniwersytetu Warszawskiego mówi, że nie mam pojęcia o czym mówię. W takim razie zapraszam na debatę ze mną. Niech trwa dzień, dwa, a nawet tydzień. Jednak niech moi oponenti udowodnią, że się mylę. Jednak oprzyjmy naszą dyskusję na faktach, a nie mitach. Kiedy młodzi ludzie przyjrzą się statystykom i faktom to przekonają się czym naprawdę jest homoseksualizm. Tylko dajcie młodym Polakom poznać tę prawdę.

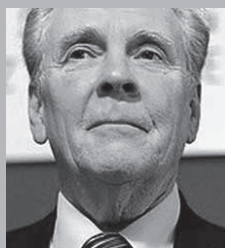
Lukasz Adamski, teolog, publicysta „Frondy”. Redaktor naczelny portalu: www.debata.olsztyn.pl



ŁUKASZ ADAMSKI

*

Dr Paul Cameron – amerykański psycholog i badacz seksualności. Brał udział w zakończonej sukcesem kampanii przeciw przyznaniu praw homoseksualistom w Nebrasce w 1982 roku, a następnie założył Instytut Badań nad Rodziną. Wykładał na Uniwersytecie w Nebrasce. Autor kilkuset artykułów i kilkunastu książek z zakresu nauk społecznych i psychologii.



Donald Wielki

„Polska wejdzie do strefy euro, gdy będzie do tego gotowa” – powiedział w wywiadzie dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung” Pan Premier Donald Tusk.

ROBERT GWIAZDOWSKI

Pan Premier odebrał właśnie nagrodę imienia Karola Wielkiego. Przypomnę, że zyskał on przydomek „Wielki” nie tylko dlatego, że miał ponad 190 cm wzrostu, ani dlatego, że podbił kraje dzisiejszych Francji, Włoch i Niemiec. Zdecydował się także „bić” WŁASNĄ monetę. To samo zrobił w



Polsce Bolesław Chrobry. Więc może tę nagrodę potraktować symbolicznie? Owszem Polska zobowiązała się w traktacie akcesyjnym do przyjęcia euro. Ale warunki umowy zostały zmienione. Dlatego w świetle prawa międzynarodowego nie mamy już dziś tego zobowiązania. Możemy – ale nie musimy! Co zmienia w sposób zasadniczy naszą sytuację prawną.

Jeśli „Polska wejdzie do strefy euro, gdy będzie do tego gotowa”, to czy należy rozumieć, że dziś nie jest „gotowa”? Ale w takim razie, czy była gotowa we wrześniu 2008 roku, gdy Pan Premier obwieścił, że „wejdzie”? Jeśli nie, to dlaczego „obwieścił” to, co „obwieścił”, wtedy, kiedy „obwieszczał”? Czyżby na prawdzie polegały plotki, że jak leciał do Krynicy, to się zastanawiali co ma powiedzieć i sztab znamienitych doradców podpowiedział mu, żeby powiedział o wchodzeniu do euro??? A jeśli tak (to znaczy jeśli byliśmy „gotowi” we wrześniu 2008, to dlaczego nie jesteśmy „gotowi” dziś? Czyżby rząd, w którym zasiada Najlepszy Minister Finansów w Europie coś popsuł w tak zwanym „międzyczasie”?

„Nie uszło uwagi” Pana Premiera, że „kryteria z Maastricht zostały naru-

Dokończenie na s. 27



Solidarnościowy „Rezonans” i działania SB

„Rezonans” był jednym z tych tytułów związanych z olsztyńską „Solidarnością”, który jako pismo opozycyjne silnie utrwaliło się w świadomości mieszkańców Warmii i Mazur. Przez wiele lat stanowiło w województwie olsztyńskim trybunę wolnego słowa, dostarczając interesujących, a przy tym wiarygodnych informacji. Po wprowadzeniu stanu wojennego nielegalny „Rezonans” był obiektem zainteresowania SB, ale pomimo prowadzonych przez bezpiekę wszechstronnych działań operacyjnych jego zespół redaktorski nigdy nie został rozpracowany.

PIOTR KARDELA

„Rezonans” legalny

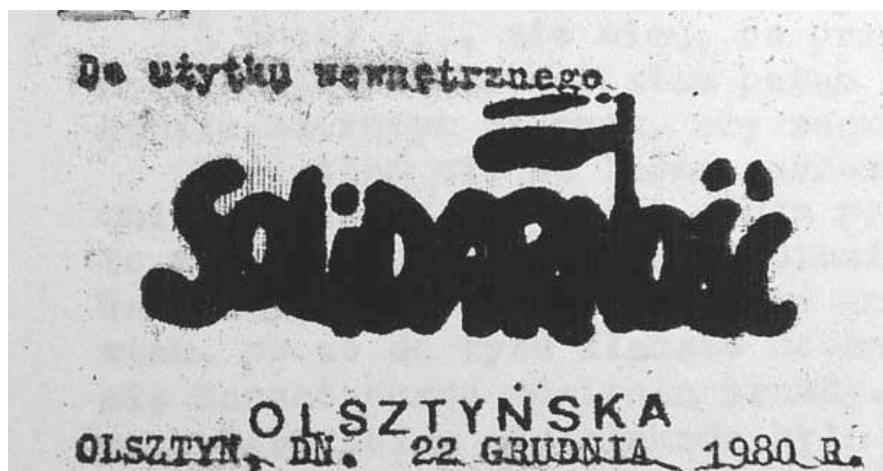
„Rezonans” wydawany był od końca września 1980 r., a jego tytuł zmieniał się kilka razy. Początkowo pismo funkcjonowało jako „Biuletyn Informacyjny MKZ”, od 8 grudnia 1980 r. – „Informator MKZ NSZZ *Solidarność*, Olsztyn”, w drugim roku (1981, od nr 5 do 8) jego tytuł brzmiał: „Solidarność Olsztyńska. Informator MKZ, Olsztyn”. Dopiero od 27 marca 1981 r. wydawnictwo przyjęło nazwę: „Rezonans. Pismo NSZZ *Solidarność*”.

Na początku redagowaniem i składem „Rezonansu”, używając zwykłej maszyny do pisania, zajmował się Wojciech Ciesielski – nauczyciel akademicki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Olsztynie, a jednocześnie szef Sekcji Informacji i Propagandy Międzyzakładowego Komitetu Zakładowego „Solidarność”. Tak na marginesie, to właśnie 9 kwietnia br. podczas uroczystości katechizacyjnych w Olsztynie (dzień przed katastrofą samolotu prezydenckiego) szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego – minister Aleksander Szczygło – odznaczył Ciesiel-

skiego, obok innych działaczy „Solidarności”, nadanym mu przez Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Druk „Rezonansu”, jeszcze jako „Biuletynu Informacyjnego MKZ”, początkowo odbywał się w Dziale Poligrafii WSP, za zgodą ówczesnego rektora. Po Ciesielskim redagowaniem pisma zajęli się pracownicy etatowi MKZ z Tadeuszem Kisłym na czele. Liczba stron pisma była różna – raz były to dwie strony, a innym razem dwanaście. Jego nakład też był różny i początkowo nawet nie określany. Później, od nr 1 w drugim roku (1981) ukazywania się pisma jego nakład (podawany w stopce redakcyjnej) wynosił 10 tys. egzemplarzy, potem 5 tys.+200, a od 27 marca 1981 r. – 4 tys.+200. Różne też stosowano metody druku „Rezonansu”. Początkowo używano powielacza białkowego i spirytusowego, potem aż do wprowadzenia stanu wojennego był to offset. W składzie redakcji pisma, podawanym dopiero w drugim roku jego ukazywania się, znajdowali się m.in.: Leszek Grucela, Marek Jarosz, Piotr Kajko, Tadeusz Kisły, Swietłana Kruk, Waldemar J. Dąbrowski, Jan Roslan, Grzegorz Skwierczyński, Janusz Soroka. Od nr 9/15 w redakcji dodatkowo znalazł się Andrzej Weber oraz stali współpracownicy: Małgorzata Ostrowska i Benon Gaziński. Liczba współpracowników wynosiła około 25 osób.

W pierwszym (1980) roku ukazywania się pisma (nr 1–4) na jego łamach drukowano m.in.: oświadczenia Komisji Krajowej „Solidarności”, informacje o sytuacji w Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie, relacje historyczne – Grudzień ’70 (w tym wspomnienia zmarłej tragicznie 10 kwietnia br. wybitnej działaczki Wolnych Związków Zawodowych i „Solidarności” – Anny Walentynowicz), pisma olsztyńskiej „Solidarności” do władz województwa, komunikaty MKZ, przedruki z innych gazet opozycyjnych, wiersze i kolędy, a także wypowiedzi rzecznika prasowego MKZ NSZZ „Solidarność” w Olsztynie – Mirosława Krupińskiego. Od 27 marca 1981 r. czytelnicy „Rezonansu” znajdowali na jego łamach m.in.: uchwały MKZ NSZZ „So-



lidarność” w Olsztynie, przedruki dokumentów „Solidarności” z innych ośrodków w kraju, informacje o działalności i postulatach „Solidarności Rolników Indywidualnych”, artykuły sygnowane przez różnych autorów (m.in.: Aleksander Rusiecki, Erwin Kruk, Mirosław Krupiński, Leszek Grucela, Józef Lubieniecki, Grażyna Langowska), rysunki autorstwa Piotra Kajki i przedruki z prasy zagranicznej (m.in. „Times”, „Izwestia”, „Prawda”). W piśmie istniała też stała rubryka „Korespondenci donoszą”. Od wiosny 1981 r. redakcja „Rezonansu” uruchomiła stały dodatek pt. „Serwis Informacyjny”, ukazujący się w odstępach przeważnie tygodniowych, zawierający w całości przedruki serwisów telexowych Biura Informacji i Propagandy Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” i oddziałów terenowych Związku.

„Rezonans” podziemny

Po wprowadzeniu stanu wojennego „Rezonans” aż do 1989 r. był pismem wydawanym w podziemiu. Jego nadtytuły ciągle były zmieniane (m.in. „Rezonans. Wydanie Wojenne”, „Rezonans. Pismo NSZZ *Solidarność*”, „Rezonans. Pismo Regionu Warmińsko-Mazurskiego”, „Rezonans. Solidarność Olsztyn. Pismo Regionu Warmińsko-Mazurskiego”). Konspiracyjny „Rezonans” był pismem, tak jak na początku swego istnienia, tworzonym na maszynie do pisania. Pierwszy numer datowany na 19 lutego 1982 r. był pisany ręcznie i nosił numerację 2. Nigdy nie było nr 1. Potem starano się utrzymać numerację, ale dwukrotnie zdarzyła się tu niekonsekwencja – raz „Rezonans” wyszedł bez numeru, a raz z numerem późniejszym. Do jego druku używano matryc białkowych. Pierwsze numery drukowane były na tzw. szmatkach, dopiero później na powielaczach – najpierw ręcznym z początku XX wieku, potem na powielaczach elektrycznych. Czasami, ale to sporadycznie, „Rezonans” ukazywał się w formie jednostronicowych ulotek. Po 13 grudnia pismo wychodziło nieregularnie – z oczywistych względów – bez stopki redakcyjnej, a artykuły nie były podpisywane przez autorów. Podziemny zespół redakcyjny w różnych okresach tworzyli: Tadeusz Adamski, Zdzisław Płotek, Teresa Stefanowicz, Bogusław Kłosiński, Kazimierz Jędrzej Wosiek, Grzegorz Jasiński, Bogdan Bachmura i Sławomir Olek. Oczywiście były tych osób różne konfiguracje. Przykładowo Wosiek nigdy nie miał przy redagowaniu „Rezonansu” kontaktu ani ze Stefanowicz, ani z Jasińskim. Miejsce składu i druku pisma było wówczas zmienne. Stosunkowo dużo egzemplarzy powstało u Zdzisława Płotka, ale chyba najwięcej „Re-



zonansu” wyprodukował Wosiek, który nie licząc Ostródy, gdzie wydrukował na pewno pierwsze egzemplarze, drukował też pismo w akademiku WSP przy ul. Żołnierskiej,

w wynajętych mieszkaniach na placu Bema i przy ul. Pana Tadeusza oraz w mieszkaniu przy ówczesnej Kaliningradzkiej (dziś Dworcowa) 83. W lokalach na placu Bema

i Pana Tadeusza Wosiek drukował „Rezonans” na zmianę z Bogdanem Kłosińskim, czasem wspomagał ich – na pewno było to w 1984 roku, Bolek, młody chłopak z OZOS oraz Stanisław Orzechowski. Bodajże trzeci czy czwarty numer – jeszcze w 1982 r. wydrukował na zlecenie Wośka Henryk Kajat z NZS przy WSP. Niektóre matryce były pisane przez Ewę Piotrowską, pracownika Zarządu Regionu z 1981 r. Później przez panią Irenę Kurnatowską, której dom sąsiedował

legalnego wydawnictwa”. Bezpieka obecność treści proponowanych społeczeństwu przez „Rezonans” traktowała jako „nielegalną propagandę polityczną obejmująca teren województwa olsztyńskiego”.

Komunistycznej Służbie Bezpieczeństwa nie udało się jednak ustalić do końca autorów i kolporterów pisma. 18 listopada 1988 r. w opatrzonym klauzulą „Tajne specjalnego znaczenia” dokumencie SB pt. „Wniosek dotyczący nowej struktury or-

sano – „kombinację operacyjną, której celem była likwidacja ośrodka »Rezonansu«”, ale „nie przyniosła ona pożądanego skutku”. „Prowadzona w tym czasie kontrola – napisano dalej w tym samym dokumencie – pozwoliła na stwierdzenie bliżej nieokreślonej roli (prawdopodobnie koordynatora) jaką może pełnić w »Rezonansie« figurant s[prawy] o[peracyjnego] r[ozpracowania kryptonim] »Junga« – 014389 Bogdan Bachmura”. „W grudniu 1985 r. – relacjonowano nieco dalej – po ukazaniu się kolejnego 69 numeru »Rezonansu« nastąpiła przerwa w ukazywaniu się wydawnictwa. Z informacji wynikało, iż było to spowodowane brakiem odpowiedniego lokalu do druku. Na podstawie informacji z okresu 1986 r. – początek 1987 r. sugerowano, iż inspiratorami całej nielegalnej działalności jest kilkuosobowa grupa byłych działaczy »Solidarności«, która nie uczestnicząc czynnie w działalności kolportersko-wydawniczej inspirowała inne osoby do takiej działalności. Podejrzewano, iż grupa ta mogłaby zamawiać lub zlecać publikacje do »Rezonansu« oraz rozwiązywać główne problemy związane z drukiem i kolportażem”. SB do wspomnianej grupy wytypowała: Michała Powroźnego, Stefana Śnieżkę, Władysława Sasina i znów Bogdana Bachmurę. Ponadto esbecja poddała pod tym kątem obserwacji grupę Józefy Mielnik i osoby związane z Punktem Porad Prawnych działającym przy kościele św. Józefa w Olsztynie, w tym Józefa Lubienieckiego. Do grupy bezpośrednich wykonawców pisma zakwalifikowano: Leszka Grucelę, Bogusława Kłosińskiego, a potem jeszcze Kazimierza Jędrzeja Wośka.

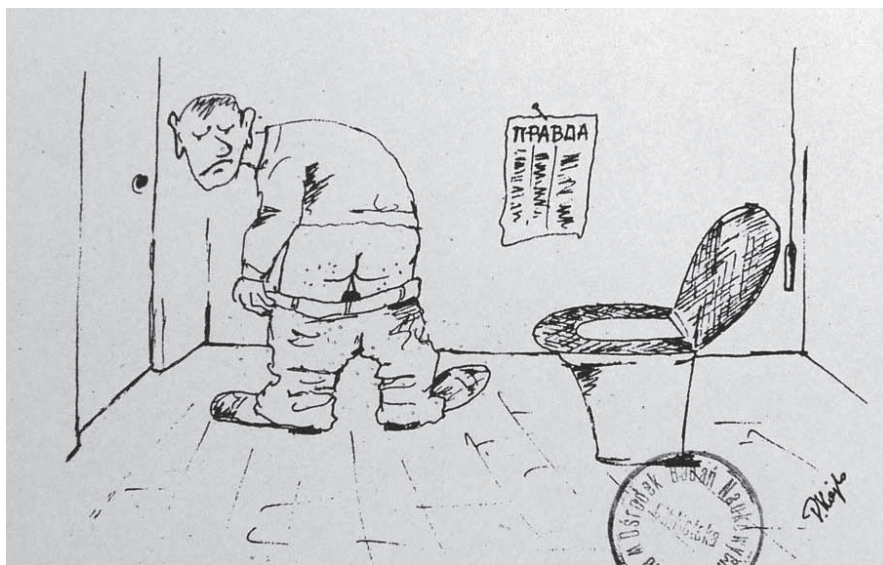


z posesją komendanta wojewódzkiego MO, Kazimierza Dudka. „Rezonans” sporadycznie urozmaicano rysunkami satyrycznymi i o tematyce patriotycznej, przykładowo przedstawiającymi Wałęsę z okazji odebrania nagrody Nobla czy Pomnik Stoczniovców. Rysunki te były sporządzane techniką nakłuwania igłą tysięcy znaków na matrycy białkowej i wykonywał to Tadeusz Adamski. W latach 1982–1989 pismo zamieszczało m.in.: informacje o osobach aresztowanych i skazanych za działalność związkową i antykomunistyczną, teksty o łamaniu praw człowieka w PRL, oświadczenia „Solidarności”, relacje z miejsc internowania (np. Hławy), apele rocznicowe (np. z okazji Sierpnia '80), komunikaty opozycji, wiersze, komentarze, materiały historyczne (m.in. o Powstaniu Warszawskim, akcji „Wisła”), a w końcu w okresie schyłkowym PRL-u oświadczenia Tymczasowego Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność”. W 1989 r. „Rezonans” informował swoich czytelników o staraniach rejestracji Związku oraz powstaniu Olsztyńskiego Klubu Obywatelskiego.

Fiasko esbeckiego rozpracowania

Pismo „Rezonans” naturalnie było w rozpracowaniu SB. Początkowo odbywało się to w ramach sprawy operacyjnego rozpracowania o krypt. „Delegat” (wszczętej przez Wydział V SB w Olsztynie dnia 13 grudnia 1983 r. na działacza „Solidarności” Michała Powroźnego, „który – jak pisano – od września 1983 roku był w posiadaniu oraz kolportował wśród osób zaufanych przedmiotowe wydawnictwo”), a następnie w ramach sprawy o krypt. „Rezonans”, wszczętej w 1988 r. i wobec fiaska wcześniejszego rozpracowania dalej ukierunkowanej na „zlokalizowanie i likwidację ośrodka druku i kolportażu nie-

organizacji rozpracowania Zarządu Regionu Warmińsko-Mazurskiego NSZZ »Solidarność« w Olsztynie”, w punkcie dotyczącym sprawy o krypt. „Rezonans” pisano, że jej celem jest w dalszym ciągu: „wykrycie miejsca druku biuletynu »Rezonans« oraz ustalenie osób piszących artykuły, składających i drukujących wydawnictwo oraz innych osób związanych z drukiem i kolportażem biuletynu”. 1 grudnia 1988 r. zestawiając wcześniejsze działania wobec twórców pisma, w dokumencie SB zapisano, że początkowo wśród działaczy opozycji, których bezpieka podejrzewała o związki z „Rezonansem” znaleźli się, objęci operacyjną kontrolą: Michał Powroźny, Leszek Grucela, Wojciech



Ruszkowski, Ryszard i Krystyna Afeltowiczowie, Kazimierz Jędrzej Wosiek, Jan Horiszny, Bogusław Kłosiński, Danuta Gulko i Wojciech Koziół. SB przez długi czas nie była zdolna niczego konkretnego ustalić. Na początku 1985 r. przeprowadziła – jak napi-

Mówiąc krótko, komunistyczna bezpieka „typowała podejrzanych”, „weryfikowała doniesienia”, „obserwowała figurantów” i „zbierała” egzemplarze pisma niemalże po wszystkich miejscowościach województwa, ale tak w zasadzie kręciła się w kółko, nie

mogąc ustalić, kto tak naprawdę (perso-
nalnie) zajmuje się „Rezonansem”. Z cza-
sem lista osób podejrzanych o wydawanie
czy kolportaż, przewijających się w aktach
sprawy, wydłużyła się. Pojawiło się wiele
nowych nazwisk, na przykład: Józef Szulia,
Ryszard Kułakowski, Władysław Kałudziński,
Arnold Zbigniew Zgorzałek, Leszek
Szabłowski, Grażyna i Ryszard Langowscy,
Sławomir Olek, Sławomir i Danuta Dobosz,
Helena Cynalewska, Anna Żurawek Nisz-
czak, Franciszek Piotrowski, Waldemar Ki-
sieliński. Bezpieka przez kilka lat analizowa-
ła m.in. jakość papieru i druku, a także użyte
środki drukarskie w poszczególnych wyda-
niach pisma. Posuwała się nawet do wy-
puszczania fałszywek „Rezonansu”. Funk-
cjonariusze analizowali gorączkowo treści
poszczególnych numerów, określając – jak
to ujmowano – ich „stopień agresywności
w stosunku do władz”. W celu uzyskiwania
stosownych ekspertyz angażowano Wydział
Badań Dokumentów Zakładu Kryminali-
styki Komendy Głównej MO w Warszawie.
„Jest to maszyna typu »Zeta« lub »Consul«
o skoku wózka 2,10” – pisano odnośnie nu-
merów „Rezonansu” z 1987 r. z Warszawy
do Olsztyna. Podobnych ekspertyz dla olsz-
tyńskiej bezpieki wykonano w stolicy aż 27,
ale znów niewiele z tego wynikało. Nic no-
wego nie wniosła do sprawy także komuni-
styczna agentura, jak choćby TW ps. „Irena”
(„według mnie – informowała SB – mają
do niej [czyli grupy „Rezonansu”] dostęp
tylko Kułakowski i Śnieżko”). Niby ustaleń
i wniosków było sporo, ale nic co można
było udowodnić procesowo. 8 lutego 1989 r.
naczelnik Wydziału III SB ppłk Romuald
Białobrzeski pisał: „Od dłuższego czasu na
terenie województwa olsztyńskiego ukazuje
się nielegalny biuletyn p[od] n[azwą] »Re-
zonans – Solidarność Olsztyn«. Charakter
zamieszczanych w biuletynie, od kilku mie-
sięcy artykułów wskazuje na to, iż częściowy
wpływ na jego redaktorów posiada Zarząd
Regionu Warmińsko-Mazurskiego NSZZ
»S[olidarność]« w Olsztynie, lecz zespół re-
dakcyjno-kolporterski jest wg naszych ocen
odrębną grupą”. Także w 1989 r., podczas
trwania obrad „okrągłego stołu”, olsztyńska
SB nie posunęła się w sprawie do przodu.

Ostatnie chwile na celowniku SB i cenzury

W końcu 20 kwietnia 1989 r. ppłk Bia-
łobrzeski zapisał: „Informuję, że po rejesta-
cji Niezależnego Samorządnego Związku
Zawodowego »Solidarność«, władze woje-
wództwa olsztyńskiego udzieliły stosownej
pomocy w uzyskaniu lokalu na prowadzenie
działalności przez Tymczasowy Zarząd
Regionu Warmińsko-Mazurskiego NSZZ
»Solidarność«. Siedziba mieści się przy

ul. Dąbrowszczaków 10. Przewodniczący
Tymczasowego Zarządu – figurant pionu V,
s[praw] o[peracyjnego] r[ozpracowania]
»Wimpel« – OL-012750 (RUSW Olsztyn)
Wiesław Brycki, dnia 18.04.br. wystosował
pismo do Okręgowego Urzędu Kontroli
Prasy, Publikacji i Widowisk o wydanie ze-
zwolenia na druk i rozpowszechnianie do
użytku wewnątrzwiązkowego pisma p[od]
n[azwą] »Rezonans« w ilości 2000 egzem-
plarzy”. W innym miejscu funkcjonariusz
napisał: „W analizowanych materiałach
brak jest odpowiedzi na wspomniane wy-
żej pismo. Z ustnej informacji dyr.[ektora
Czesława] J.[erzego] Małkowskiego wy-
nika, że O[kręgowy] U[rząd] K[ontrolni] P[ra-
sy] P[ublikacji] i W[idowisk] w Olsztynie
uwzględnił prośbę Zarządu Regionu »S[oli-
darności]« i wyjątkowo udzielił jednorazo-
wego zezwolenia na wydrukowanie wspo-
mnianego pisma na potrzeby wewnątrz
wiązkowe. Z dalszej wypowiedzi dyr.
[Czesława] J. Małkowskiego wynikało, że
»Rezonans« jako periodyk podlega rejestra-
cji – wpisowi do rejestru Głównego Urzę-
du Kontroli Prasy Publikacji i Widowisk w
Warszawie”. Według dokumentu SB, dyre-
ktor olsztyńskiej cenzury miał dalej informo-
wać, że Związek „winien pisemnie zwrócić
się tam w powyższej sprawie. Po dopełnie-
niu wspomnianej formalności może ubie-
gać się o jego legalne oficjalne wydawanie
/nawet nie tylko na potrzeby wewnątrz
wiązkowe/ przedkładając każdorazowo
teksty /treść/ w OUKPPiW w Olsztynie ce-
lem dokonania kontroli wstępnej”. Jak dalej
miał poinformować dyrektor Małkowski
„Zarząd Regionu [»Solidarność«] wydając
kolejne numery »Rezonansu« opisanych
formalności nie dopełnił”. 29 maja 1989
r. ppłk Białobrzeski podawał: „Tymczaso-
wy Zarząd NSZZ »Solidarność« Regionu
Warmii i Mazur w Olsztynie w połowie
maja br. rozprowadzał jubileuszowy numer
»Rezonansu« Nr 100 z datą 15–30.IV.1989
r., w którym m[iędzy] innymi podaje się, iż
następne [numery pisma] będą już wyda-
wane oficjalnie”. Esbek opisując zawartość
setnego numeru relacjonował, że zawiera
on informacje o „siedmioletniej pracy kon-
spiracyjnej zespołu redakcyjnego” i „infor-
mację z rozmowy z pierwszym redaktorem
podziemnego »Rezonansu«”. Pomimo tej
wiedzy, olsztyńska bezpieka sprawy krypt.
»Rezonans” formalnie nie zamknęła. 15
czerwca 1989 r., a więc już po wyborach do
sejmu kontraktowego, naczelnik Wydziału
III SB ponownie odnotowywał kolportaż
pisma na ulicach Olsztyna, w którym za-
warte były m.in. „ostateczne wyniki gło-
sowania” czy „apel Lecha Wałęsy dotyczący
konfliktu w Chinach”. Informacje na temat
zawartości numerów pisma SB sporządzała
jeszcze 27 czerwca, 3 i 18 lipca 1989 r.

Kiedy już większość Polaków mówiła
o wolnej ojczyźnie, dnia 4 września 1989
r. zastępca naczelnika Wydziału III SB mjr
Władysław Leśniewski przesłał dokumenty
sprawy o krypt. „Rezonans” do przepr-
wadzenia „oceny prawnej”, chcąc uzyskać
odpowiedź, czy bezpieka ma ją prowadzić
dalej czy zamknąć. „Analiza prawna spr-
awy operacyjnego rozpracowania kryptonim
»Rezonans« nr 19308”, opatrzona znów
klauzulą „Tajne specjalnego znaczenia” po-
wstała dopiero 29 grudnia 1989 r. – doko-
nał jej porucznik Alfred Miłocki z WUSW
w Olsztynie. Przeczytał w niej można, że w
wyniku działań operacyjnych SB „nie zdo-
łano jednoznacznie ustalić i udokumento-
wać w sposób procesowy osób kolportują-
cych kolejne numery »Rezonansu«, miejsca
drukowania periodyku, jak również osób
redagujących poszczególne artykuły”. Jed-
nak z racji przepisów ustawy, która weszła
z dniem 6 czerwca 1989 r. „o zmianie nie-
których przepisów prawa karnego i prawa o
wykroczeniach”, kolportaż takich pism jak
„Rezonans” nie był już czynem karalnym,
ani wykroczeniem. W „Analizie” zauważo-
no jednak, że Brycki nie dopełnił formalno-
ści związanych z wydawaniem „Rezonan-
su”, z którymi został zapoznany przez Urząd
dyrektora Małkowskiego, w czym autor
„Analizy prawnej” dostrzegł możliwość
rozpatrywania popełnienia wykroczenia „z
art. 17 ustawy z 31.07.81 r. o kontroli publi-
kacji i widowisk”, co z kolei wyartykułował
jako: „uchylenie się od kontroli wstępnej
treści pisma”. Z drugiej strony por. Alfred
Miłocki zauważył: „biorąc pod uwagę ak-
tualną sytuację społeczno-polityczną [w
Polsce] niecelowym byłoby kierować w po-
wyższej sprawie wnioski do Kolegium ds.
Wykroczeń”. Funkcjonariusz wnioskował
zatem materiały sprawy operacyjnego roz-
pracowania wraz ze sporządzoną przez sie-
bie analizą przekazać Wydziałowi Ochrony
Konstytucyjnego Porządku Państwa do celu
złożenia jej w archiwum.

Ostatni dokument w całej sprawie po-
wstał 5 stycznia 1990 r. Sporządził go kpt.
Grzegorz Okoński. Był to meldunek kieru-
jący akta sprawy do resortowego archiwum.
Służba Bezpieczeństwa została zlikwidowa-
na, a „Rezonans” wychodził dalej.

Piotr Kardela

Tekst artykułu oparto na analizie egzem-
plarzy „Rezonansu” znajdujących się w Zbio-
rze Specjalnym OBN im. W. Kętrzyńskiego
w Olsztynie oraz dokumentach sprawy
objektowej krypt. „Rezonans”, znajdujących
się w białostockim archiwum IPN, z których
zaczepnięto wszystkie przytoczone cytaty.
Całość uzupełniono informacjami uzyskany-
mi od ks. Jana Rosłana, Bogdana Bachmury
i Kazimierza Jędrzeja Wośka, którym za po-
moc dziękuję.

Sergiusz Piasecki.

Tęsknota ziemi białoruskiej

Kiedy Adam Mickiewicz pisał inwokację do „Pana Tadeusza”, wers „do tych łąk zielonych, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych”, wyrażał tak naprawdę tęsknotę do północnej części dzisiejszej ziemi białoruskiej, do Ziemi Nowogródzkiej, historycznej Czarnej Rusi, albowiem historyczna Ruś Biała była bardziej na wschód i obejmowała Mińszczyznę, czyli Ziemię Mińską, położoną wokół Mińska Litewskiego, dziś zwanego Mińskiem Białoruskim, stolicy współczesnego państwa białoruskiego. W okresie międzywojennym Nowogródek był stolicą województwa, w którym jednym z południowych powiatów był powiat baranowicki z siedzibą w Baranowiczach. W tym powiecie, też na południe od Baranowicz znajduje się miasteczko Lachowicze. Było ono w XVI i XVII stuleciu własnością Chodkiewiczów. Słynny hetman, Jan Karol Chodkiewicz, zwycięzca Szwedów pod Kircholmem i Turków pod Chocimiem w 1621 roku, ufortyfikował osadę i uczynił z niej najbardziej oborną twierdzę Rzeczypospolitej na przełomie wieków. W kościele w Lachowiczach pochowany był Tadeusz Reytan, poseł Ziemi Nowogródzkiej na sejm rozbiorowy w latach 1773–1775, jedyny który na tym sejmie protestował przeciw rozbiorowi Rzeczypospolitej. Rzucił się podobno na ziemię, by zagrozić drogę posłom wychodzącym z sali obrad. W tychże to Lachowiczach w roku 1901, w dniu 1 kwietnia, urodził się Sergiusz Piasecki, późniejszy polski pisarz, partyzant, agent wywiadu, przemytnik, więzień, żołnierz Armii Krajowej, emigrant.

SELIM CHAZBIJEWICZ

Lachowicze były również jednym z centrów tatarskiego osadnictwa w dawnym Wielkim Księstwie Litewskim. Niedaleko, nieco na wschód znajduje się miasteczko Kleck, w przedwojennym powiecie nieświeskim, powiecie granicznym. W Klecku znajdował się posterunek garnizonu Korpusu Ochrony Pogranicza. Siedzibą garnizonu KOP-u były Baranowicze. W roku 1506 miała miejsce wielka bitwa pod Kleckiem, w której książę Michał Gliński na czele wojsk litewsko-polskich pobił armię krymskich Tatarów. Książę Gliński sam był tatarskiego pochodzenia, tylko już religii prawosławnej i dobrze znał taktykę tatarską. Po tym zwycięstwie osadzono jeńców tatarskich w okolicznych miejscowościach. Z czasem część z nich nabyła prawa i przywileje szlacheckie, osiadając między innymi w Lachowiczach. Wielu Tatarów pełniło funkcje w gwardii przybocznej Radziwiłłów lub Sapiechów, wielu wykonywało zawody i rzemiosła takie jak ogrodnictwo, garbarstwo, rymarstwo lub też byli woźnicami i pocztylionami – świadcząc ówczesne usługi pocztowe. W Lachowiczach ludność tatarska zajmowała się w większości ogrodnictwem. Stamtąd pochodzili przodkowie moich dziadków ze strony matki. Gwoli prawdy należy też nadmienić,

że miasteczko Kleck było również zasiedlone Żydami, a klecki ośrodek kabalistyczny był znany szeroko wśród żydowskich mieszkańców Europy Wschodniej. Na północ od nieświeskiego powiatu znajdował się powiat stołpecki z siedzibą w miasteczku Stołpce. Zaraz dalej były takie osady jak



Sergiusz Piasecki

Mołodeczno, Raków, zaś tuż za granicą sowiecką miasteczka Kopyl i Słuck. A jeszcze dalej na wschód był Mińsk. Ziemia Mińska wydała wielu wybitnych Polaków, choć-

by Tadeusza Kościuszkę i Stanisława Moniuszkę, a także Mariana Zdziechowskiego, o którym pisałem w jednym z poprzednich numerów „Debaty”. Z Mińszczyzny pochodził również Melchior Wańkowicz oraz Walenty Wańkowicz - malarz, romantyk, przyjaciel Adama Mickiewicza, autor znanego portretu wieszca pt. „Mickiewicz na Judahu skale”. W Mińsku istniała cała dzielnica zamieszkała przez Tatarów, zwana „tatarską Słobodą”. Były też „tatarskie ogrody” warzywne uprawiane przez ludność tatarską. Ta „Słoboda” i ogrody zniszczone zostały w czasie drugiej wojny światowej, a zwłaszcza w latach pięćdziesiątych po wojnie, kiedy budowano nowy, socjalistyczny Mińsk, w którym budowli przypominających warszawski Pałac Kultury jest ze dwadzieścia. Dawne miasto drewnianych parterowych domków z ogródkami poszło w niepamięć. W współczesnym Mińsku są dwie lub trzy odrestaurowane uliczki, które mają przypominać klimat dawnego miasta. Było to miasto wielonarodowe i wieloreligijne. Oprócz Tatarów mieszkali tam Żydzi, oczywiście Polacy, Ukraińcy, Białorusini, Rosjanie, Ormianie, Litwini, Niemcy, obok prawosławnych żyli katolicy, muzułmanie, wyznawcy judaizmu oraz chrześcijańskich kościołów unickiego, ormiańskiego, nieco protestantów. Kwitł handel, rozwijała się kultura, funkcjonowały restauracje, knajpy, hotele i domy publiczne. Taki Mińsk opisywał w swoich powieściach Sergiusz Piasecki. W jego piarstwie odżywa klimat i atmosfera małych kresowych miasteczek, targów, bazarów, sklepów i sklepików na małych uliczkach brukowanych kostką drewnianą, szynków i zamtułów, jak też dalekiego zabużańskiego krajobrazu, lasów, rzek, poleskich bagien, nocy nad brzegami rzek ukradkiem przekraczanych, samotnych chat w lesie, bujnej kresowej zieleni, białoruskiej miękkiej mowy i łagodnych obyczajów miejscowego ludu.

Wróćmy jednakże do biografii Piaseckiego. Urodził się jako syn mocno zrusyfikowanego drobnego szlachcica Michała Piaseckiego i Klaudii Kułakowicz, najpewniej Białorusinki, prostej, niepiśmiennej wieśniaczki, która była służącą u niego. Był nieślubnym dzieckiem. Dziadkowie Piaseckiego byli właścicielami niewielkiego folwarku położonego nieopodal Nowogródka. Zamordowali ich fornale siekierami spodziewając się zarabować wiele pieniędzy. Po tragicznej śmierci właścicieli zubożały folwark dzieci zostawiły dla siostry, zaś bracia wstąpili do carskiej służby urzędniczej. Tak więc Michał Piasecki został urzędnikiem na poczcie. W tamtych czasach praca na poczcie była bardzo dobrą posadą, zapewniającą stały, całkiem niezły dochód oraz inne przywileje i dodatki, i w oczach otoczenia

nobilitowała. O matce nigdy się Sergiusz niczego właściwie nie dowiedział. Ojciec w okrutny sposób pozbawił ją możliwości widywania dziecka i na skutek wygranej sprawy sądowej otrzymał wyłączną opiekę nad synem. Podobno, jak wspominał sam pisarz, kiedyś, gdy był jeszcze bardzo mały matka wykradła go na pewien czas. Kochanka ojca, którą uważał za swoją rodzoną matkę, złośliwie maltretowała go, jak później wspominał. Uczył się raczej źle, czy też – tak sobie. Był uczniem sprawiającym kłopoty wychowawcze, na co najpewniej wpłynęła sytuacja domowa. Dużo czytał. Zarówno rosyjską, jak i polską literaturę. Tę ostatnią w przekładzie na rosyjski, nie znał bowiem aż do dwudziestego roku życia języka polskiego. Całkowicie zruszczony ojciec, rosyjskie otoczenie, szkoła – to wszystko nie sprzyjało nauce języka. Świadomość narodowa, też była u Piaseckiego wręcz znikoma, co sam przyznawał. Uczył się w gimnazjach w Mińsku i w Bobrujsku. W roku 1915 rodzina została ewakuowana w głąb Rosji w wyniku zarządzenia władzy cesarskiej. Ewakuowano wiele tysięcy ludzi w obawie przed następującymi wojskami niemieckimi. Piasecki trafia do Włodzimierza nad Kłazmą, krainy będącej etnicznym sercem Rosji. Tam jest w szkole prześladowany przez innych uczniów jako Polak, co paradoksalnie zaczyna w nim rodzić uczucia patriotyczne. W końcu ów mobbing, jak to byśmy dziś określili, przybiera takie rozmiary, że młody Piasecki nie wytrzymuje i wybucha. I to wybucha dosłownie. Jak podawał w ankiecie emigracyjnego czasopisma *Wiadomości*, wydawanego w Londynie przez Mieczysława Grydzewskiego, napadł zbrojnie na inspektora gimnazjum i gospodarza klasy. Został wydalony ze szkoły, to oczywiste. Znalazł się na krótko w więzieniu, z którego uciekł. Był to już jednak rok 1917 i chaos nadchodzącej rewolucji oraz trwającej na tych ziemiach wojny wciągnął przyszłego pisarza, żądnego przygód w swój wir. Wciągnął go także świat przestępczy Mińska i rosyjskiego pogranicza, który potem tak barwnie opisywał. Po bolszewickim puczu, nazywanym „rewolucją październikową”, znalazł się młody Piasecki w Moskwie. Tam, w „oku cyklonu”, dokonało się przyspieszone dojrzewanie.

Okres lat 1917–1920 był na Białorusi okresem niepokoju i chaosu. Tam przebiegał front pierwszej wojny światowej. W Baranowiczach początkowo znajdowała się kwatera główna polowa armii rosyjskiej, której dowódcą był na początku wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, wnuk cara Mikołaja I, oprawcy Polski. Później polowa kwatera główna została przeniesiona do Mohylewa, również na Białorusi. Od 1915 roku głównodowodzącym armii rosyjskiej

został sam car Mikołaj II. Na terytorium Białorusi przebiegała również późniejsza linia frontu w wojnie polsko-sowieckiej. Na tym terenie formowane były różne dobrowolne jednostki walczące z o wolną Polskę i wolną Białoruś. Przypomnę wspomniane już na łamach „Debaty” oddziały Stanisława Bułak Bałachowicza, czy wcześniejszy, polski korpus generała Dowbór Muśnickiego, działający i sformowany w okolicach Bobrujska. Oprócz tego należy wspomnieć o partyzantce „zielonych”, tj. luźnych grup chłopskich broniących swojego dobytku, domów przed czerwonymi, białymi, Niemcami, a też i Polakami, i wszystkimi inny-



mi. Ludzie ci często nie mieli określonej świadomości narodowej, identyfikowali się z swoją wsią czy okolicą, określali się jako „tutejsi”, często zamieszkiwali bagna nad rzeką Prypeć, o których pisze Piasecki w swoich książkach. Byli to również dezertyrzy ze wszystkich armii, które jak burza przetaczały się nad białoruską ziemią, chłopci uciekający od poboru do wojska. Oprócz tego przez ten teren przewalały się zwyczajne bandy rabunkowe, przemytnicy i wszelkiej maści poszukiwacze przygód i łatwego życia. Na tych szlakach znalazł się i nasz bohater.

Po powrocie z Moskwy do Mińska Litewskiego znalazł się Piasecki, podobnie jak wielu ówczesnych mieszkańców tych ziem przed koniecznością politycznego wyboru opcji narodowej, państwowej, a poniekąd i militarnej. Odruchowo prawie opowiedział się przeciw bolszewikom. Może nie tyle ze względu na budzącą się polską świadomość narodową – był on przecież pół krwi Polakiem – i to mającym całkowicie zruszczonego ojca. Mordy, grabieże, wszelka podłość i okrucieństwo, głód chaos i terror wystarczyły, by opowiedział się przeciw. Przyłą-

czył się do „zielonych”. Była to organizacja „Zielonego Dębu”, która stawiała sobie za cel stworzenie wolnej Białorusi bez bolszewików. Na jej czele stał ataman o pseudonimie „Derkacz” (Wiaczesław Adamowicz). Organizacja ta współdziałała ze sztabem Bułak Bałachowicza. W roku następnym, tj. 1919, Piasecki współpracuje już z zajmującą Mińsk armią polską. Jesienią tegoż roku wstąpił do organizowanej przez Białoruską Komisję Wojskową armii białoruskiej. Komisja ta, zatwierdzona dekretem Józefa Piłsudskiego z dnia 22 października 1919 roku, wyznaczyła na dowódcę białoruskiego wojska polskiego Tatara, pułkownika Hassana Konopackiego. Był on mianowany dekretem Piłsudskiego, a więc przez niego praktycznie mianowany. Jako miejsce formowania armii białoruskiej wyznaczono miasto Słonim. Siedzibą Komisji został Mińsk, potem Baranowicze, na koniec, w roku 1921, siedziba przeniesiona została do ...Łodzi, a później jej działalność uległa likwidacji. Do tej to pierwszej w historii armii białoruskiej wstąpił Piasecki. Pod koniec tegoż roku znalazł się nasz bohater w Szkole Podchorążych Piechoty w Warszawie. W roku 1920 już jako polski żołnierz dostaje przydział do Dywizji Litewsko-Białoruskiej w Wilnie.

12 maja 1921 roku zostaje zdemobilizowany. Znalazł się na wileńskim bruku bez zajęcia, bez pieniędzy, bez większych widoków na przyszłość. Próbował zarabiać w różny sposób, nie zawsze zgodny z prawem, przypominał sobie, nie tak znowu odległe mińskie czasy. Zajął się przemytem, co tak barwnie, wręcz nostalgicznie opisywał później w swoich powieściach. Na razie zbierał doświadczenia i materiał do literackiej twórczości, wcale jeszcze tego nie planując. Zawarty pomiędzy Rzeczpospolitą Polską a Rosją Sowiecką traktat pokojowy w Rydze z dnia 18 marca 1921 roku, utworzył granicę, która stała się szybko kordonem pomiędzy cywilizacją europejską a oceanem terroru, bezprawia i nędzy.

Za drugą stroną kordonu, za linią graniczną w Mińsku Litewskim, pozostał ojciec Michał Piasecki. Czegóż zresztą całkowicie zrusyfikowany pocztowy urzędnik miałby szukać w Polsce? Może jednak mógłby. Mój pradziadek ze strony matki, były sztabskapitan armii cesarsko-rosyjskiej, znalazł jednak w nowym państwie polskim w Wilnie pracę. Też był rosyjskojęzyczny z racji funkcji i zawodu, po polsku mówił słabo, ale z czasem coraz lepiej. Też w pewnym okresie przed pierwszą wojną światową pracował jako urzędnik pocztowy. Jednakże syn Michała, Sergiusz, nie mając żadnych możliwości zarobku, mimo przemytnictwa, a może dla przygody, w sierpniu 1922 roku dał się zwerbować do

polskiego wywiadu, do tzw. „Dwójki” czyli II Oddziału Sztabu Głównego WP. Podlegał referatowi „Wschód”, o którym też już w poprzednich numerach „Debaty” pisałem. Jako wywiadowca, znający świetnie język rosyjski, teren i realia, był przeliczany za sowiecką granicę. Właściwie sam się przeliczał, bowiem dla zamaskowania się działał jako przemytnik. Był dobrym, operatywnym, odważnym wywiadowcą, bardzo oddanym sprawie polskiej racji stanu, zaś jego informacje posiadały poważną wartość operacyjną. Po dwóch, czy trzech latach służby w wywiadzie otrzymał awans na podporucznika, najniższy stopień oficerski, co było nie lada wyróżnieniem. Pracując „oficjalnie” jako przemytnik Piasecki popełnia częsty błąd wśród policjantów, czy funkcjonariuszy służb specjalnych – za bardzo wchodzi w rolę. Już po paru latach trudno jemu samemu oddzielić jedno od drugiego, sam nie wie - czy bardziej jest przemytnikiem, czy wywiadowcą. Popęłnia też drugi błąd charakterystyczny dla funkcjonariuszy służb. Zaczyna mocno pić alkohol. Pił już i wcześniej. Jednakże ciągle napięcie nerwowe, permanentny stres, łatwość dużego zarobku, tymczasowość, wreszcie obyczajowość tamtejszych mieszkańców, wszystko to sprawia, że stał się alkoholikiem. Przestaje panować nad sobą, co w pracy w wywiadzie praktycznie wyklucza dalszą aktywność. Staje się agresywny, wszczyna burdy i bijatyki. Zarobione na przemyśle pieniądze puszcza na prawo i lewo. W okresie emigranckim wspomina, że w ciągu czterech lat pracy w wywiadzie przez jego ręce w sumie przechodzi ponad milion funtów szterlingów. Nie zostaje mu jednak nic. Nic nie odłożył. Wszystko przehulał i przepił. W czasie pracy wywiadowczej zarówno po polskiej, jak i sowieckiej stronie odbywał krótkie wyroki za przemyt. Nie dekonspiruje się. Przechodzi granicę ponad trzydzieści razy. Jeśli weźmiemy okres czterech lat pracy w wywiadzie, da to częstotliwość około półtora miesiąca. Jest więc to częste i duże napięcie. Trochę trudno mu się dziwić. Jednakże nie usprawiedliwia to jego w sumie przestępczej działalności, na którą wkroczył.

W końcu, pomimo ofiarności, operatywności i odwagi w wykonywaniu zadań, do położonych coraz częściej dochodzą skargi na jego „działalność” innego rodzaju i w lutym 1926 roku zostaje zwolniony z wywiadu. Znowu zostaje na lodzie, bez środków do życia. Na dodatek do nałogu alkoholowego dochodzi narkomania, nałóg zażywania kokainy, który nabył Piasecki w Rosji Sowieckiej. Szuka wyjścia, to znaczy sposobu zarabiania. Próbuje dostać się do Legii Cudzoziemskiej, ofiarowuje swoje usługi francuskiemu wywiadowi. Jego ofer-

ty zostają odrzucone. Głodując, odurzony kokainą i alkoholem dokonuje napadu rabunkowego. Na drodze pomiędzy Lidą a Grodnem napadł na żydowskich kupców zdążających na targ. Zrabował około tysiąca złotych i złoty zegarek. Tysiąc złotych po reformie Grabskiego było naprawdę dużą sumą. Po tym fakcie, przedostawszy się do Wilna, razem z kolegą dokonał drugiego napadu. Zdradza go kochanka kolegi. Sądzony był przez sąd w trybie doraźnym ze względu na niespokojną sytuację na ówczesnych Kresach. Prokurator domagał się kary śmierci. Ta została zasądzona. Z uwagi na dawne zasługi w wywiadzie i wstawiennictwo II Oddziału, karę śmierci zamieniono mu na karę piętnastu lat więzienia. W więzieniu w Rawiczu oskarżono go o stanie na czele buntu więźniów. Zostaje przeniesiony karnie do więzienia na Świętym Krzyżu koło Kielc, uchodzącym za najcięższe więzienie w II Rzeczypospolitej. Piasecki organizował bunty, głodówki, pisał skargi, był więźniem sprawiającym



kłopoty i z tego też powodu szykanowanym przez władze więzienne. Karcer w najcięższym więzieniu w Polsce, na który często był skazywany, odebrał mu część zdrowia i sił. Badania, które odbył w więziennym szpitalu na Pawiaku w Warszawie wykazały gruźlicę płuc. Rozpoczął również starania o przedterminowe zwolnienie. W tych warunkach rozpoczął swoją pracę literacką. Oprócz pisania rozpoczął intensywną pracę nad szlifowaniem swojego języka polskiego, praktycznie zaczął się uczyć poprawnego, literackiego polskiego. Pisał rozpuszczonym ołówkiem chemicznym - starsi czytelnicy będą wiedzieć co to było, w brulionie, którego kartki z braku miejsca zapisywał po-dwójnie, między wierszami już zapisanego tekstu. Wtedy to napisał takie powieści jak *Piąty etap*, będący zbeletryzowanymi wspo-

mnieniami z czasów pracy w wywiadzie oraz słynną *Kochanek wielkiej Niedźwiedzicy* o przemytnikach i mińskim półświatku złodziejskim. Opisywał go tak barwnie, jak nikt przed nim i nikt po nim, albowiem świat ten przestał istnieć. Stał się więc niechcący Piasecki kronikarzem zaginionego i rzadko opisywanego świata. Rosyjski półświatek okresu przedrewolucyjnego opisywany był tylko z taką intensywnością przez Aleksandra Kuprina, jednego z najgłośniejszych pisarzy przełomu XIX i XX wieku, w którego powieściach i opowiadaniach zaczytywał się w młodości Piasecki. Kuprin, ze strony matki tatarski książę, od 1919 do 1937 roku przebywał na emigracji w Paryżu, gdzie też podobnie jak Piasecki wpadł w ciężki alkoholizm. W roku 1937 na skutek nieprzechwyconej nostalgii wrócił do Rosji, to znaczy Związku Sowieckiego, gdzie rok później zmarł, być może nie bez pomocy organów bezpieczeństwa, chociaż organizm pisarza mógł po prostu nie wytrzymać takiej ilości wódki.

Sergiusz Piasecki w więzieniu w Św. Krzyżu rozpoczął również pracę nad powieścią pt. *Żywoć człowieka rozbrojonego*, w którym opisywał w zbeletryzowany sposób swoje przygody po demobilizacji na początku lat dwudziestych. W ogóle powieści Piaseckiego są w zasadzie, z pewnymi wyjątkami - czy raczej wyjątkiem, właściwie zbeletryzowanym mocno pamiętnikiem. Piasecki jest realistą opisującym wyłącznie świat mu dobrze znany, postacie i sytuacje, które sam spotkał i których sam doświadczył, krajobraz który niemal znał na pamięć. W tym znaczeniu jego proza jest niewątpliwie dokumentem epoki w takim rozumieniu w jakim dokumentem epoki jest literatura i jej realia, a także czymś więcej, ponieważ na podstawie pewnych fragmentów twórczości tego pisarza da się odtworzyć topografię Mińska, Wilna, Baranowicz tego czasu. W tym kontekście jest Piasecki naturalistą, to znaczy próbuje odzwierciedlać i pokazywać rzeczywistość wręcz z dokładnością fotograficzną, jak chcieliby tego twórcy naturalizmu, np. Emil Zola, czy też nasza rodzima Gabriela Zapolska.

Zdarza się, że na drodze naszego życia staje szczęście, nagła odmiana, którą często przynosi pozornie obca osoba, ktoś, kto swoim działaniem, opinią, radą, świadomością lub nieświadomością, pośrednio lub bezpośrednio przyczynia się do odmiany naszego losu, zmiany całego życia. Tak było w przypadku Piaseckiego. Tą osobą był Melchior Wańkowicz, sławny pisarz i dziennikarz, właściciel wydawnictwa „Rój”, które wydawało polską współczesną literaturę, autor między innymi oprócz wielu książek i reportaży słynnego przed wojną hasła rekla-

mowego „cukier krzepi”, za które podobno otrzymał milionowe honorarium. Wańkowicz poznał jako dziennikarz Piaseckiego jeszcze przed jego sadzeniem w Św. Krzyżu. Piasecki przesłał mu swoje utwory prosząc o radę literacką, co już samo przez się było trudno wykonalne zważając na ciężkie więzienie. Zaintrygowany i zafascynowany powieścią *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*, jej treścią, jej autorem, zawarł z nim umowę wydawniczą w roku 1937. Opublikował też w najbardziej prestiżowym czasopiśmie warszawskim „*Wiadomości Literackie*”, które po wojnie będą ukazywały się jako *Wiadomości*, redagowane i wydawane przez tego samego redaktora i wydawcę, o którym pisałem na początku tego tekstu, reportaż o Piaseckim. Powieść okazała się bestsellerem, a informacje o autorze były podstawą do petycji skierowanej przez środowisko literackie do prezydenta Mościckiego o ułaskawienie Piaseckiego. Po wielu zabiegach, w których uczestniczył Wańkowicz, prezydent RP przychylił się do prośby środowiska literackiego i samego skazanego i po jedenastu latach więzienia Sergiusz Piasecki odzyskuje wolność 2 sierpnia 1937 roku.

Dwa ostatnie lata wolności przed wybuchem wojny są dla Piaseckiego okresem gorączkowej próby nadrobienia jedenastu lat „odsiadki” i izolacji. Wchodzi w literackie towarzystwo Warszawy. Przebywa w Zakopanem lecząc gruźlicę, gdzie nawiązuje znajomość między innymi z Witkacym. Przebywa w środowisku artystycznej bohemy. Jest sławnym pisarzem i ma w końcu pieniądze, które wypłaca mu Wańkowicz za druk jego powieści. Tę dobrą w końcu passę przerywa wybuch wojny. Otwiera ona nową kartę w losach pisarza. Od razu po ataku niemieckim zgłasza się Piasecki do wojska. Otrzymuje przydział do Korpusu Ochrony Pogranicza. Jednakże na front nie trafia. Oddział rozprasza się koło Białegostoku na wieść o poddaniu się Warszawy. Nasz bohater wraca do Wilna. Miasto jest w tym czasie pod okupacją litewską. Włączył się prawie od razu w działalność konspiracyjną. Od 19 lutego 1940 aż do lutego 1945 roku był żołnierzem Związku Walki Zbrojnej, a później Armii Krajowej. Piasecki, ze swoim stażem w wywiadzie i doświadczeniami konspiracyjnymi wszedł w skład Kedywu AK, czyli Kierownictwa Dywersji. Od roku 1943 były szefem komórki zbrojnej dokonującej egzekucji z wyroku sądów podziemnych na agentach, donosicielach, szpiclach Gestapo. Ten oddział zwano potocznie „Egzekutywą”. W marcu 1943 roku zorganizowano i wykonano wyrok m.in. na Czesławie Ancerowiczu, redaktorze wydawanej przez Niemców w języku polskim gazety pt. *Goniec Codzienny*. Gazeta ta, zwana popularnie „gadzinówką”, siała

niemiecką propagandę. Trochę później, w czerwcu 1943 roku, Piasecki zdołał z narażeniem życia uratować dokumenty po aresztowaniu przez Gestapo szefa Biura Informacji i Propagandy Wileńskiego Okręgu AK, Zygmunta Andrzejewicza. Za to został odznaczony brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczkami nadanym przez Komendę Wileńskiego Okręgu AK. On również zdołał wstrzymać wykonanie wyroku na Józefie Mackiewicz, wydanym pochopnie za domniemaną współpracę z Niemcami. Jemu to Józef Mackiewicz zawdzięczał życie. Tzw. sprawa Mackiewicza warta jest razem z kontekstami osobnego artykułu, nie będę więc jej tu zbytnio rozwijał.

Na przełomie 1941 i 1942 roku, Piasecki poznał Jadwigę Waszkiewicz, absolwentkę Wydziału Prawa Uniwersytetu Stefana Batoryego w Wilnie. Poznał ją w majątku Barcie należącym do jego znajomych, Antoniego i Izabeli Waszkiewiczów. Jadwiga była ich córką. Była też wielką miłością pisarza. Z tego związku urodził się w 1944 roku syn Władysław. W roku 1942 zmienił wyznanie z prawosławnego na katolickie. Akt ten miał stanowić o jego całkowitym związku z Polską i zerwania z tradycją wschodnią. Zupełnie odwrotnie uczynił przed śmiercią Józef Mackiewicz. Okres walki w Armii Krajowej na Wileńszczyźnie i działalność w „Egzekutywie” opisał w powieści pt. *Dla honoru organizacji*. W roku 1944, kiedy to sowietci ponownie zajmowali te tereny, Piasecki pracował jako robotnik rolny w majątku Barcie, a także nieco potem w sowchozie Karwieliszki pod Wilnem. W okresie niemieckiej okupacji powstają takie powieści jak: *Jabluszko* i *Spojrzej ja w okno...* Robi się jednak wokół pisarza gorąco. NKWD ma go w swoich spisach. W maju 1945 roku „na fałszywych papierach” opuszcza Wilno już na zawsze. Z czasem dołącza do niego Jadwiga z synem. W Polsce Ludowej szukało go UB. Jego książki były wycofywane z bibliotek i niszczone. Oczywiście nic wydać nie mógł. Jak ścigane zwierzę jeździł po Polsce, próbując się ukryć. W końcu, w roku 1946, dzięki pomocy pułkownika Antoniego Olechnowicza, ostatniego dowódcy wileńskiego AK i organizatora tzw. Wileńskiego Ośrodka Mobilizacyjnego AK w Gdańsku i brytyjskiego wywiadu, udało mu się wyjechać przez Czechosłowację do Niemiec. Poruszając kolejny raz wątki tatarskie muszę napisać, że pułkownik Olechnowicz też był pochodzenia tatarskiego. Żonaty był z polską Tatarką Tamarą Korycką, pochowaną we Wrocławiu. Autor tego artykułu utrzymuje kontakt koleżeński z synem pułkownika, Krzysztofem Olechnowiczem, mieszkającym we Wrocławiu globtrotterem. Olechnowicz był bezpośrednim przełożonym słynnego majora

Zygmunta Szendzielarza – Łupaszki, który działał jako dowódca partyzanckiego oddziału na Wybrzeżu Gdańskim, w Borach Tucholskich i w ówczesnym województwie olsztyńskim, m.in. w Puszczy Piskiej, w latach 1945-1947. Jako młody chłopak, w latach sześćdziesiątych jeździłem do tej puszczy na młodzieżowe obozy żeglarskie, których organizatorem był już nieżyjący Olgiard Christa, były oficer u Łupaszki. Z kolei Krzysztof Olechnowicz opowiadał mi, że sztab całej konspiracji mieścił się w mieszkaniu Olechnowiczów w Gdyni przy ulicy Czolgistów. Obaj zostali po schwytaniu przez UB i KBW zgładzeni w 1947 roku. Tam dostał się do brytyjskiej strefy okupacyjnej, do miejsca stacjonowania I Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka. Stamtąd wyruszył do Włoch, do II Korpusu Polskich Sił Zbrojnych pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Tam spotkał znowu Melchiora Wańkowicza, a także Ferdynanda Goetla. Rozpoczął współpracę z wydawanymi przez II Korpus czasopismami, jak *Orzeł Biały*, *Dziennik Żołnierza APW*, a także z zaczynającym swoją pracę w Rzymie Instytutem Literackim Jerzego Giedroycia. Znowu protekcja Wańkowicza pomogła mu w przyjęciu formalnym do stanu osobowego II Korpusu, co umożliwiło mu otrzymanie żołdu i dachu nad głową oraz możliwość ewakuacji do Wielkiej Brytanii. Pod jesień 1946 roku razem z innymi żołnierzami ląduje w Glasgow. Po oficjalnym rozwiązaniu II Korpusu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i demobilizacji 2 lutego 1947 roku, znalazł się Piasecki na liście osobowej Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia. Organizacja ta zajmowała się pomocą zdemobilizowanym żołnierzom polskim na obczyźnie i pomagała w stawianiu pierwszych kroków w cywilu na emigracyjnej ziemi. Umożliwiała otrzymywanie jeszcze przez krótki okres czasu pewnych skąpych zasilków.

Na początku swego pobytu w Wielkiej Brytanii Piasecki mieszkał już jako formalny cywil w Londynie. W roku 1952 przeniósł się do miejscowości Hastings w hrabstwie Sussex, znanej z bitwy w roku 1066, w której Wilhelm Zdobywca, władca Normandii, pobił króla Harolda II i zdobył tron Anglii. W Hastings, a potem w sąsiedniej miejscowości St.Leonards-on-Sea, mieszkał Piasecki do końca życia. Brał udział w życiu literackim emigracji, aczkolwiek jedynie poprzez publikacje, publicznie nigdy na żadnych autorskich spotkaniach i wieczorach nie występował. W roku 1951 i 1952 brał udział w ataku części środowiska emigracyjnego na Czesława Miłosza, który zdecydował się na emigrację w 1949 roku. Tekst artykułu Piaseckiego nosił tytuł *Były poputczyk Miłosz*. Młodszym czytelnikom

należy wyjaśnić, że określenie „poputczyk” wzięło się z języka rosyjskiego i oznaczało dosłownie kogoś komu z nami „po drodze” (po puti). Poputczyk to był ktoś, kto formalnie nie był komunistą, jednakże wspierał komunistyczny reżim. Piasecki zarzucał Miłoszowi współpracę z komunistami, był on przecież w latach 1946-1947 attache kulturalnym przy ambasadzie Polski Ludowej w Waszyngtonie i potem w Paryżu. Piszę „Polski Ludowej”, chociaż wtedy jeszcze nie było oficjalnie tej nazwy, która formalnie obowiązywała jako nazwa państwa od „uchwalenia” konstytucji w roku 1952. Chodzi mi jednak o jasność dla czytelnika, który może nie wiedzieć jakiej opcji politycznej było państwo polskie po 1945 roku. Jako profesor nauk politycznych, na podstawie wypowiedzi studentów na egzaminach wiem, że takie rzeczy się zdarzają.

Żył na obczyźnie Sergiusz Piasecki bardzo skromnie. Wynajmował małe pokoiki na poddaszu. Właściwie przez całe życie nie miał własnego mieszkania. Publikował, drukował książki, nowele, powieści. Należał do Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Nie mógł też zobaczyć ani Jadwigi, ani syna. Pisał do nich listy dostarczane przez tzw. „okazję”. Oficjalnie pisać nie mógł, skazałby bowiem żonę i syna na aresztowanie i prześladowania. Żył bardzo biednie, z trudem wiążąc koniec z końcem. Próbował przez moment założyć nową rodzinę z poznaną w Hastings Polką. Dał jednak temu spokój po paru awanturach. Trudno mu się dziwić. Jedną córkę tej Polki, Basia, stała się jego wychowanicą w tym sensie, że pomógł w umieszczeniu jej w szkole klasztornej. Ona też opiekowała się nim w ostatnich chwilach życia. Dały też o sobie znać dawne przeżycia. Zaczął chorować. Starość, choroba, bieda i samotność to połączenie straszliwe. W czerwcu 1964 roku trafił Sergiusz Piasecki do polskiego szpitala w Penley w Walii. Przeszedł dwie poważne operacje i chemioterapię. Sądząc z opisu leczenia pisarz chorował oprócz innych dolegliwości na nowotwór. Zmarł 12 września 1964 roku. Pochowany został w Hastings na St. Helen's Borouhg Cemetery. Jeśli będziesz kiedykolwiek czytelnikiem blisko tego miejsca, co w dzisiejszych czasach nie jest wykluczone, odwiedź grób polskiego pisarza, szpiega, przemysłowca, żołnierza i patriotę, Polaka z wyboru.



Profesor w Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego jest założycielem i prezesem Związku Tatarów Rzeczypospolitej; poeta, członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, autor kilku tomów poezji

SELIM CHAZBIJEWICZ

Tradycyjnie dowcipna Agnieszka Osiecka

Motorem tych uwag jest idiosynkrazja. Odczuwana od lat przez piszącego te słowa idiosynkrazja, od lat nie mogąca znaleźć ujścia, a ściślej zmaterializować się pod postacią tekstu.

ANDRZEJ KOTLIŃSKI

Zarazem przecież stwierdzić muszę, że zdecydowałem się napisać o autorce *Apetytu na czereśnie* również z przyczyn towarzyskich. Wielokrotnie zdarzało mi się bowiem rozmawiać z przyjaciółmi na temat Osieckiej – i nasze opinie zawsze różniły się tak dalece, że zdecydowałem się swoje *votum separatum* spisać. Zdecydowałem więc, że zajmę się selektywnie wybranymi aspektami dzieła „Egerii” STS-u, autorki niezliczonych kabaretowych i estradowych szlagierów. Że przyszła wreszcie pora, bym, co sobie wielokrotnie obiecywałem, spróbował wyartykułować swe, przynajmniej niektóre, względem niej pretensje, powiedział, za co tak nie lubię jej poezji i jej poczucia humoru, dlaczego uważam, że narobiła, niestety, dużo szkody i bałaganu w sferze estetyczno-etycznej, że, epatując poetycką galanterią, szerzyła – być może nie do końca świadomie – nie tylko zły gust, ale i moralny indyferentyzm; zdaję sobie sprawę, na jaką śmieszność się narażam, wytaczając takie działa przeciw autorce tekstów estradowych – sądzą przecież, że jest w moich pretensjach szczypta racji, jeśli zestawimy pisane w epoce Gierka teksty Osieckiej z tekstami np. Wojciecha Młynarskiego.

Gdyby lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte ubiegłego stulecia (jak to brzmi!) potraktować jako zasadniczą płaszczyznę odniesienia dla przedmiotu tych uwag, to dałoby się, trawestując jedno z wyznań wiary skonstatować: „Agnieszka Osiecka jest boginią, a Maryla Rodowicz jej prorokinią”. Moja wiara nie jest w najmniejszym stopniu związana z tym kościołem. Po prostu: jestem z tej perspektywy niewierzący, a nawet więcej: jestem wojującym ateistą.

Chcę też od razu przypomnieć z naciśkiem, że Osiecka była w PRL-u jednym z kilku – co najwyżej kilkunastu – licencjonowanych przez wszelkie szczeble decyzyjne, nie wysuwając na plan pierwszy, ale też nie pomijając panów z ulicy Mysiej – autorów tekstów piosenek, jednym z tych demiurgów estrady, którzy mieli niezakłócony dostęp do radia i telewizji, stale współpra-

cując z gwiazdami polskich mediów tamtych lat. Przeto – *horribile dictu!* – można powiedzieć, iż autorka ballady o „wiernych czterech pancernych” sprawowała – w odpowiednio do swego czasu karykaturalnej formie, ale jednak – „rząd dusz”!

Żeby tekściarz, żeby autor estradowych szlagierów mógł mieć rząd dusz... chciał wypowiadać się „za miliony”, w ich imieniu... (Dorzućmy nawiasem, że ten romantyczny wątek wieszczych pieśni i takichże aspiracji jeszcze się w niniejszych uwagach pojawi) Osiecka chciała. Jak mówi zaprzyjaźniona z nią Magda Umer, „chciała być zbiorową łżą i zbiorowym uśmiechem [...]”¹.

I mogła. Pragnę przy tej okazji zwrócić uwagę na to, że znakomita większość osób, które zabierają głos w związku z Osiecką i jej twórczością, wpada z punktu w jakąś nieznośnie egzaltowaną manierę stylistyczną; sądzą, że manierę ową wymusza jakość przedmiotu wypowiedzi; również i ten wątek winien w niniejszych uwagach powrócić.

Osiecka miała – wiedzą o tym wszyscy – dużą łatwość pisania i takąż sprawność warsztatową. Wszyscy, choćby za sprawą enuncjacji Agaty Passent, znają opowieści o kawiarni – czy może raczej barze – jako o ulubionym przez Osiecką miejscu twórczenia, i o tym, że na bibułkowej serwetce powstawały – od jednego pociągnięcia pióra – teksty, którymi powszechnie się zachwycono; ów *entourage* jest zresztą naturalnie ruchomym motywem wszelkich opowieści o obyczajach artystycznej bohemy – gdzie czas pisania wiersza był równy czasowi spożycia porcji alkoholu.

Ten kontekst każe na moment przywołać dzieło i osobę Gałczyńskiego. Koneksi między nim a Osiecką wydają się aż nadto oczywiste. Zasadnicze podobieństwo dotyczy obopólnego upodobania do poetyckiej galanterii – a ściślej: tandety. Osiecka w sposób nieznośny ogrywa tradycyjne, wymęczone rekwiizyty poetyckości – tak jak Gałczyński, który żongluje swoimi światłami: ciałami astralnymi, świecami i lampami na ubogim stole oraz nazwami instrumentów i nazwiskami kompozyto-

rów lub wzrusza się własnym szczęściem, płynącym z możliwości konsumowania „rosołu i bułki”.

Zresztą właśnie on, Gałczyński, co wielokrotnie podkreślali autorzy i bywalcy STS-u, był twórcą języka pokolenia: cytat, aluzja, „mówienie Gałczyńskim” było codzienną praktyką przywołanej grupy towarzysko- politycznej; sama poetka wspomina, jak często w gronie przyjaciół, „popijając paskudną jałowcówkę, pletli wiersze Konstantego i wędrowali w zieloną metafizykę”².

Tradycja u Osieckiej to nawiązania do literatury wysokiej, ale i kultury popularnej; z jednej strony na przykład fraza z piosenki *Na zakręcie*: „kobieta po przejściach” w scenerii wstającego po nocnej hulance poranka rozmawiając na przystanku z przypadkowo spotkanym mężczyzną – owa więc wracająca nad ranem kobieta zwraca się do swego rozmówcy, mówiąc m. in.: „Pan widzi krzesło, ławkę, stół, a ja – rozdarte drzewo”. Mamy tu dwie oczywiste aluzje do klasycznych utworów literatury ojczystej: on ujawnia w jej oczach cechy strasznych mieszczan z wiersza *Mieszkańcy* Tuwima, ona z kolei okazuje się żeńskim odpowiednikiem skazanego na tułaczkę Judyma, którego szarpnięciem zasadnicze dylematy.

Wciąż przy okazji Osieckiej tradycji (literackiej): we wstępie do zbioru felietonów: *Zabawy poufne* autorka – chyba z niejaką dumą – oświadcza: „Manię zmyślenia obłądnych nazwisk zawdzięczam, jak się Państwo domyślcie, Witkacemu”. Po czym następuje zdanie tradycyjnie dowcipne – czyli reprezentujące dowcip o określonej tradycji (i poziomie): „reszta pochodzi z niczego, czyli z głowy”³. (Osiecka, na szczęście nie jest tak zabójczo, tak niewyobrażalnie dowcipna jak np. Olga Lipińska, ale obie artystki – przyjaźniły się zresztą – sporo je też łączy, np. kult Gałczyńskiego...)

Pozwolę sobie w tym miejscu na niewielką, acz merytoryczną, mam nadzieję, dygresję. Jacek Łukasiewicz, komentując w 1959 roku dyskomfort lektury świeżo wydanego *Jarmarku rymów* Tuwima, konstatował: „Moi znajomi, którzy albo sami piszą, albo należą do <środków> literackich, też nie mogą czytać *Jarmarku*... Znajomi zaś, którzy są lekarzami, technikami, czytają i zaśmiewają się.” „O co chodzi?” – pyta strapiiony autor *Szmaciarzy i bohaterów* – Czy o poczucie humoru? Czy mnie i moim znajomym od literatury zabrakło tego poczucia, a lekarze i technicy zachowali je czyste i nieskażone? Czy sposób odczuwania? Może ja się śmieję z czego innego, a oni z czego innego?”⁴

Gdyby w miejsce Tuwima, wstawić nazwisko twórczyni *Małgośki*... Gdyby do opi-

sywanego przez Łukasiewicza uczucia szeregowego rozbawienia, w jakie wprawia czytelnika określonego typu określony rodzaj produkcji literackiej dodać równie szczerze uczucie wzruszenia, płynące z niezmaconego przekonania, że obcuje się z liryką w najczystszej postaci... Cóż by się okazało?...

Wydaje się, przy okazji wspomnianej piosenki: *Na zakręcie*, tak przejmująco wykonywanej przez Krystynę Jandę, że ulubioną heroiną Osieckiej jest postępczo- stencjalistyczna – tzn. m. in. ustawicznie pozbawiana złudzeń, szarpiąca się z życiem, przeto bardziej ponura, upijająca się z reguły na smutno, etc. – kobieta w wieku Balzakovskim, zresztą zapewne (w jakimś stopniu) mutantka, lub też może późna, PRL-owska wnuczka... bohaterki kabaretowego międzywojennego szlagieru: *Ta mała piła dziś*...

Alkoholowy, łzawy sentymentalizm, alkoholowy patos i alkoholowa euforia –



nie myślę w żadnym razie o alkoholu jako o „źródle poetyckiej inspiracji”, a jedynie o typie obecnej w utworach ekscytacji, egzaltacji, „bebechowości” – to w moim odczuciu jakaś szczególna dystynkcja ogromnej części utworów Osieckiej; można by powiedzieć, stosując określenie, którego użył kiedyś Jan Błoński w odniesieniu do poezji innego zgoła autora, i zresztą bez cienia ironicznej intencji, że z tekstów takich, jak *Niech żyje bal*, by przywołać najgłośniejszy bodaj *evergreen* „liryzm bucha z nadzwyczajną siłą”⁵

Wydaje się w ogóle, że jako *sui generis* motto do całej tekściarskiej twórczości Osieckiej może posłużyć zwrotka strofka z piosenki *Polskie życie*:

Za nasze polskie życie
za takie, jakie jest,
wypijmy wódki łyżeczkę
z domieszką cichych łez...⁶

Naturalnie słyszymy wszyscy, do jakiego stopnia parafrazą tradycyjnej pieśni biesiadnej jest przytoczony fragment; zresztą uzależniony od klasyki – łącznie z tytułem – okazuje się cały utworek...

Takie teksty pisze się zapewne z przyjemnością, ale – mówię we własnym imieniu – słucha się ich już z mniejszą przyjemnością, a czyta – często – z przykrością: irytuje taka ruska, pijacka „duszoszczypatielność”... to granie na sentymentach, to schlebienie...

Za autotematyczne – więc z naszego punktu widzenia istotnie ważne – wyznaczenie poetki można bez wątplenia uznać początek monologu z musicalu *Apetyt na czereśnie*. Czytamy:

Chcecie wiedzieć, gdzie ja mieszkam –
za teatrem. Róg Chałtury.
Między kinem a jarmarkiem,
pod miastem literatury.
Mieszkam z kurą, parą kociąt,
polityką, kiszka, bzem
i z chłopakiem, co korkociąg
ma przy sobie noc i dzień.⁷

Złośliwy mógłby od razu powiedzieć, że z niektórych zakamarków owego miejsca zamieszkania bywa czasem do „miasta literatury” dość daleko... Nie uprzedzamy przecież istotnych argumentów.

Ważna wydaje się po pierwsze lokalizacja, jaką Osiecka ustala dla swojej muzy. Teatr, kino, jarmark i literatura wyznaczają, w przekonaniu poetki, wierzchołki domeny przez nią zajmowanej, niemniej nie do wszystkich punktów orientacyjnych jest – wedle niej samej – równie blisko autorce *Apetytu na czereśnie*. „Kino” skwitujemy od razu: Osiecka jest przecież absolwentką łódzkiej „Filmówki” – nie może więc chyba dziwić, że artystka w swej autoprezentacji wspomina o „zawodzie wyuczonym”. (Wcześniej ukończyła wydział dziennikarski UW ze specjalnością teatralną.) Zresztą przywołane przez nią kino – sztuka filmowa – „dziesiąta muza”, nazywana przecież u początków swojego istnienia „sztuką jarmarczną”, w oczywisty sposób uzasadniać może obecność „jarmarku” jako jednego z czterech obszarów, w których, według jej własnych słów, istnieje jako artystka. Sztuka jarmarczna – przypomnijmy na marginesie, że z lubością lokował swą twórczość w jej przestrzeni „mistrz Ildefons” – jest wszak, choć to paradoksalne, w równym stopniu sztuką elitarną jak egalitarną: dla nielicznych amatorów – w szlachetnym tego słowa znaczeniu, tych, którzy perwersyjnie lubią delektować się tandetą, albo dla nieprzeliczonych wielbicieli, którzy innej niż jarmarczna sztuka nie znają – i przede wszystkim nie potrafią tej innej pojąć. Hochsztaplerka, prestidigitatorstwo, tan-

deta, kicz, granie na sentymentach – tak się zresztą – *Sentymenty* – nazywa jeden z ostatnich zbiorów Osieckiej... Tu dodajmy też, i mocno zaakcentujmy, że tomik ów, w odróżnieniu od innych autorskich antologii jej tekstów, nie został wyposażony w adnotacje o kompozytorach piosenek, osobach wykonawców ani tytułach większych całości – musicali, widowisk, teatralnych, etc. – z których pochodziły. Wydaje się, że Osiecka chciała po prostu, by czytelnik jej utworów nie miał świadomości, że czyta „tylko” drukowane w formie książkowej teksty piosenek, lecz że obcuje z „normalnymi”, tj. „prawdziwymi” wierszami...

Autorka *Listów śpiewających* miała, jak można sądzić, istotne ciągoty do tego, by jej dzieło zostało uznane za odpowiadające wymogom literackości *sensu stricto*, a nie tylko „literackości użytkowej”, by stało się przedmiotem badań naukowych, by zyskało prawo naukowo usankcjonowanego – tj. prawdziwie „literackiego” istnienia i funkcjonowania. W ankiecie „Polityki” pytała: „czy sukcesy w kulturze masowej budzą w Pani pokusy spróbowania sił w nowej konwencji?” odpowiadała – tak przynajmniej uważa autorka wspomnieniowej książki o Osieckiej – „z a r t o b l i w i e”: „Budzą. Oczywiście, budzą. Przecież, jak chyba każdy polski autor, odczuwam potrzebę spiżowości. Chcę się odkleić od żółtych krążków Tonpressu i przykleić do IBL-u. [...] Chcę zapomnieć, kto to jest Adam Zwierz i przypomnieć sobie, kto to był Sęp Szarzyński. Chcę pisać wspomnienia z Włoch, subtelnie zahaczać o antyk, czytać strukturalistów i w liliowobiałej dłoni pieścić kruchą chryzantemę”.⁸

Dwie potencje, które, jak się zdaje, w znacznym stopniu powodowały życiem Osieckiej, ujawniają się w tej wypowiedzi. Po pierwsze: wspomniana wcześniej potrzeba funkcjonowania w oficjalnych, sankcjonowanych gremiach, tęsknota, by „niskie” SPATIF-y, ZAKR-y, i co tam jeszcze, pogodzić z „wysokim” IBL-em, tj. by IBL traktował jej twórczość jak każdy inny przedmiot swoich badań, po wtóre: by, po prostu, będąc już licencjonowaną sawantką (lektura strukturalistów), równocześnie „przedwojenną d a m ą b y ć”⁹: „w liliowobiałej dłoni pieścić kruchą chryzantemę”. Sugestia, że oto mamy do czynienia ze stylizacją na kicz nie przekonuje mnie w tym ujęciu w najmniejszym stopniu: „nie udawaj, że udajesz”, mawia się często przy okazji tak przejrzytych mistyfikacji...(Jest też i trzecia animująca działaniem potencja: osobista kariera; tę ostatnią budowała bodaj jeszcze skwapliwiej, niż własną legendę, o czym świadczą nie tylko komentarze obserwatorów, ale i

wyznania samej Osieckiej¹⁰.) Bywała, bez oporów natury moralnej, na salonach władzy, będąc, jak mawiali znajomi z baru „Sax”, konstrukcją „i na żagiel, i na parę”¹¹.

To zapatrzenie Osieckiej na IBL miało nieoczekiwane konsekwencje. Oto, jak czytamy we wspomnieniowej książce *Agnieszki. Pejzaże z Agnieszką Osiecką*, „Autorytetem polonistycznym dla Agnieszki była profesor Maria Janion, historyk literatury. Tak wypowiedziała się na temat twórczości Agnieszki: „To była ostatnia romantyczka w piosence. <<Amor szmaciany płynie ulicą>> – słyszę w tym Słonimskiego i Tuwima, którzy umieli poetyzować zwyczajność. Ona to po nich odziedziczyła. R o z u m i a ł a , j a k i e s ł o w o j e s t w a ż n e . (Jakże dwuznacznie brzmi ten komplement, gdy się zważy, że kierowany jest pod adresem osoby, która zawodowo para się twórczością



literacką... – A.K.) Na tym polega artysta, na sztuce jedynego nazywania. Czytam w niej zdolność do miłości, wielką i przerażającą, ostrą świadomość istnienia. Jak skaman-dryci porównywała życie do tańca.[...]”¹²

Ta ostatnia konstatacja funduje się, jak można sądzić, przede wszystkim na tekście arcyszlagieru *Niech żyje bal*; dzięki owemu utworowi ostatecznie – przynajmniej w moim przekonaniu – ugruntowała się ponadhistoryczna twórcza symbioza Osieckiej z Marylą Rodowicz, o której to symbiozie wspominałem na początku niniejszych uwag. Zauważyć przecież trzeba, że przywołany tekst jest poza wszystkim jedną z niezliczonych mutacji motywu *dance macabre*. Tradycja, z której wywodzi się ów utwór jest zresztą złożona. Prócz wspomnianego motywu *totentanz* mamy więc też pierwiastki, tak to nazwijmy, epikurejskie – „tańcz, póki żyjesz, i śmiej się do żony, i pij zdrowie dam” – stowarzyszone z tonami egzystencjalistycznego heroizmu – „pchajmy więc taczki obłędu jak Byron” – wszystko

przecież spaja niełatwy optymizm, realizujący się w programowej eksklamacji: „Niech żyje bal, bo to życie to bal jest nad bale[...]” . Wspomnijmy również w tym kontekście uderzającą, groteskową skoczność omawianej piosenki, rytmiczne podrygi frazy, dominację wyliczenia jako chwytu i iście Bakowskie rymy w rodzaju: „manna, hosanna różaniec i taniec”, albo „chłopo-robotnik i boa-grzechotnik” konstatując, że barokowa literatura – w swych skrajnych przejawach – bywała uznawana za ucieleśnienie ...złego smaku ...

Wracam do przywołanego sądu Marii Janion. Opinia znakomitej badaczki zdetonowała mnie trochę. Przede wszystkim, przyznaję ze wstydem, przez dłuższą chwilę nie mogłem się zorientować, o co chodzi w związku z cytowanym „szmacianym Amorem”, jakie znaczenie ma owa zapamiętana przez autorkę *Odnawiania znaczeń* figura. Pomógł mi w rozszyfrowaniu jej sensu Jacek Kuroń, również zachwycający się piosenką, z której pochodzi wspomniany trop i obraz zarazem. Łącząc utwór z pokoleniowym doświadczeniem ideowo-politycznym, wspominał:

„Pomyślałem, że [Osiecka – A.K] publicznie, na swój sposób[...], mówi o sprawach , o których i ja chciałem mówić głośno. Szczególnie chodzi mi o jeden tekst: *Kochankowie z ulicy Kamiennej*. Usłyszałem tę piosenkę w czasie, kiedy nasz ruch wolnościowy umarł. Gorzej, my sami się podaliśmy, przepolitykowiśmy ten Październik. I *Kochankowie z ulicy Kamiennej*, piosenka o chłopcach i dziewczynach, którzy pragną pięknej miłości, ale żyją na takiej Kamiennej, gdzie wszystko jest brudne i złe, stała się rodzajem epitafium dla naszego ruchu. Bo oni pewnego dnia wychodzą na ulicę, wszystko narasta, potężnie...amor szmaciany płynie...[...] „Potem znów cicho, potem znów ciemno, potem wracają znów na Kamienną”.

Ta zwięzła, acz przejmująca opowieść kończy się egzegezą: „Agnieszka opowiadała, że każdy człowiek ma prawo do tego, co piękne. I do dziś jest to dla mnie piosenka o krzywdzie, jaką można wyrządzić zwykłemu człowiekowi. I o tym, że prawo człowieka jest nieustannie przez ludzi łamane. To był manifest Agnieszki¹³”.

Wróćmy przecież do niepokojącej figury „szmacianego Amora”, który „p ł y n i e u l i c ą”. Literalny sens tej metonimii stał się dla mnie jasny dzięki przede wszystkim właśnie kontekstowi podszywanemu przez czasownik. „Amor” – miłość, i tę miłość symbolizujący kolor – przemieszcza się w miejskiej przestrzeni. „Amor” jest „szmaciany” – więc może ze szmaty zrobiony; może to po prostu szmata – tj. zniszczona płachta, kawał zszarganego płótna. Określonego koloru

„s z m a t” tkaniny, który „p ł y n i e u l i c ą”. Jasne: to wszak oczywistego koloru „nasz sztandar”, który „p ł y n i e p o n a d t r o n y”! (Chcieliśmy dobrze, wyszło tak jak zawsze...). Dwie osoby chwalą Osiecką za ten sam tekst – ba, za tę samą frazę, za tę samą metonimię... I każda jakby za co innego: Kuroń – za wrażliwość społeczną i ideologię – Janion za sztukę poetycką... A przecież i tak okazuje się, że najlepszy i najważniejszy jest płynący ulicą „szmacyany Amor” – czerwony sztandar.

Byliby więc może – wchodząc w tonację serio, i nawiązując do opinii o Osieckiej jako ostatniej wielkiej romantyzce (piosenki) – pisać te słowa z niejakim zdziwieniem – byliby więc *Kochankowie* jakąś przedziwną, postzetempowską mutacją *Uspokojenia* Słowackiego?... Nie: jednak nie ta liga. Jeśli ktoś miał co do „kultowego” tekstu STS-u jakieś złudzenia, to rozwiewa je w istotnym stopniu sama poetka. Osiecka miała zamiar sfilmować *Kochanków*. Jej nowela filmowa tak się zaczyna:

Najpierw okna, okna, okna, okna, okna, zgrzebne, ubogie, banalne, na ulicy bezdrzewnej, bezlistnej, kamiennej, jakiej w filmie wcale nie będzie, aż może na końcu dopiero, bo w filmie – same ulice srebrne, złote, księżycowe. Z daleka śpiew, itd., itd., i na koniec czołówki: I dopiero teraz – złoty ptak, złote oko Kamienną zasłania, i kino się zaczyna.¹⁴

Pretensjonalność języka opisu wydaje się – przynajmniej piszącemu te słowa – istotnie nieznośna. To jednak jakaś esencja złego gustu; kino projektowane przez tak naszkicowany scenariusz zasługuje ponad wątpliwość na miano „sztuki jarmarcznej” z jednoznacznie negatywnymi konotacjami tego określenia.

Powracając na chwilę do wątków autotematycznych w twórczości Osieckiej i jej zakorzenienia w tradycji poetyckiej, warto przez moment rzucić okiem na tekst zatytułowany *Zesłowiczenie*. Utwór, którego tytuł musi budzić nieodparte skojarzenia z poezją i poetyką Tuwima, zaczyna się tak:

Nie przychodź do mnie, życie, zbyt często,
do serca jak do drzwi nie łomocz,
nie zmieniaj fantazji w szaleństwo
i Boga nie wzywaj na pomoc.¹⁵

Tytuł jest, jak się rzekło, Tuwimowski. Cała reszta zaś – to już inna stylistyka. Naturalnie – trafiają się fragmenty „oryginalne”, by rzecz skwitować od razu, urocze, niepowtarzalne frazy w rodzaju: „pochowam się w stare zegary / i w śpiewki-przelewki wśród psot”. Niemniej poetkę, którego słycać najgłośniej spod deklaracji podmiotu, że „rzuci się w łan baż” – i ów głos ujawnia się już w cytowanym, inicjal-

nym czterowerszu, jest... Broniewski. Broniewski autotematycznie-autobiograficzny, jakiego znamy z wierszy takich choćby jak *Mannlicher, A kiedy będę umierać...*, czy nawet *Poezja*; analogie dotyczą przede wszystkim tonacji emocjonalnej – ale i niektórych motywów żołniersko-jesiennowsko-romantycznych: Słyszać – jak u Broniewskiego – Jesienina i Słowackiego:

Ty nie budź mnie, życie, jak kapral,
po nocach pod oknem mi nie wyj
niech srebrna śpiewa mi harfa [...]

albo:

Ty przyjdź do mnie kiedyś nad ranem,
Ze śmiercią jak z panną pod rękę,
I podaj mi czarny atrament
Na śmieszna ostatnią piosenkę.

Albo wreszcie – to zakończenie wiersza:

„Niebrzydka z was dwojga jest para –
śmierć powie ścierając z nas kurz.
Ja na to powiem: „sen mara”...
A życie: „już”.

(Tu z kolei słycać ton desperackiej, autodestrukcyjnej drwiny znany choćby z *Baru pod Zdechłym Psem, czy Poeta i trzeźwi*.)

Więc Broniewski. Ale zarazem – i to znamienne! – Broniewski *à rebours*. Znacząco najlepiej we frazie, która znów ma zdecydowanie autotematyczny, autointerpretacyjny charakter:

Ja wolę, jak rentier, na tyłach
Podmiejską cepelią w dal kwilić
Niż frunąc na ciężkich skrzydłach
I ginąc na pierwszej linii.¹⁶

„Ostatnia romantyczka” rezygnuje więc z „ciężkich skrzydeł”: wprost deklaruje brak woli walki, (śmierci), „w pierwszej linii”; ten militarny *entourage* znów w oczywisty sposób kojarzyć się musi z frazeologią twórcy wiersza *Do towarzyszy broni*. W miejsce tego – skwapliwa zgoda – ba, szczerza wola, by spełniać się w „kwileniu podmiejską cepelią”... Dziwne, ale i – symptomatyczne. Zwłaszcza z uwagi na wzmiankę o „rentierze”, którą czytać można przez pryzmat szeroko niniejszym cytowanych *Pejzaży z Agnieszką Osiecką*, a ściślej: przez licznie obecne we wzmiankowanej pracy informacje o Osieckiej woli zrobienia kariery, o jej potrzebie życia dostatniego, wolnego od finansowych utrapień i politycznych wyborów.

„...pół kobita, pół poetka” – pisała o sobie autorka piosenki do serialu o czterech pancernych i psie. Jeśli te słowa potraktować serio, to owo autotematyczne w wymowie miano sugeruje, iż Osiecka pragnie, by odbiorca był świadom, że, by użyć tradycyjnej formuły monografistów literackich, „życie” i „twórczość” autorki przeboju:

Sing-Sing nie są jednością; zresztą ta forma – „kobita” – ma, moim zdaniem, świadczyć o tzw. życiowym podejściu do własnej osoby, o trzeźwej autoironii – i zarazem potwierdzać stały kontakt poetyckiej połowy autorki z kolokwialnymi pokładami języka. No i ilustrować jakże specyficzne – specyficznie tradycyjne! – poczucie humoru. Bo Osiecka, osoba doskonale się odnajdująca w powojennych realiach, czerpiąca z nich wszelkie możliwe profity – wspominałem o jej dążeniu, o planowaniu własnej kariery i o lęku przed politycznym ryzykiem – tu rysuje się jakieś podobieństwo między nią, a skamandrytami- „pieczeniarkami”¹⁷ – Osiecka zatem ustawicznie, z wyraźną konsekwencją, kreowała własny wizerunek jako „osoby przedwojennej”; była wszak autorką przeboju: *Damą być*¹⁸. W rzeczonym szlagierze oświadcza, że „damą być chciałyby i umiałyby”, jak też, że w jej wyobrażeniu ten status spełnia się najlepiej przez „trenowanie nowych min”, „stanie przed lustrem” i – *last not least* – „picie bananówki na wyspach bananowych”. Mając świadomość, że chodzi zasadniczo o kreację literacką, czytelnik-słuchacz nie może nie popaść w chwilową zadumę nad, tak to nazwijmy, naiwnością powyżej nakreślonego wizerunku „damy”... Oferta modelu życia jest bowiem istotnie karykaturą: stereotypem budowanym na kliszach kultury arcypopularnej: na Właście, Mniskównie, fotoplastikonie. Z jedną wszakże istotną domieszką. Jest nią *signum temporis*: oto elementy obecnego jeszcze w *Kochankach z ulicy Kamiennej* etosu zetempowskiego (postzetempowskiego?) zostają zagłuszone przez jazgotliwy „luz” epoki gierkowskiej. Szczytem typowego idiotyzmu kultury popularnej przywołanego okresu jest piosenka Osieckiej: *Mały barek w Santa Cruz*¹⁹. Ten egzotycznie ulokowany utwór napisała autorka, mówiąca o sobie: „A tak na serio – jestem przede wszystkim kronikarzem obyczajów”²⁰. Jakich obyczajów i jakim kronikarzem jest ktoś, kto – zgoda, w piosence estradowej! – ale przecież, by zacytować, Barańczaka, równocześnie „w określonej, nieprawda, epoce” proponuje: „s’il vous plait, pojedźmy właśnie tam”, do Santa Cruz – dalej zaś epatuje się egzotycznymi okolicznościami, takimi jak strzelanina: „Aż tu puf z kilku łuf, znowu i znów”, i nieoczekiwany pogrzeb: „Miał być ślub, a tu trup, chodźmy na grób.” Istotnie „miły luz” – „arcymiły, ani słowa” – panuje w świecie przedstawionym tej – jak zresztą wielu innych – piosenki Osieckiej. „Jeśli nie mają chleba – niech jedzą ciasteczka” – miała powiedzieć bezduszna królowa Maria Antonina... Ale przecież opowieść wyszła spod pióra osoby, której wrażliwością społeczną wzruszały się autorytety... Jakże więc... Jak to tak...

Wreszcie: całą swoją twórczość artystyczną sytuuje Osiecka na „Rogu Chałtury”. Rozumiem to wyznaczenie poetki następująco: oto wszystko, co wyszło spod jej ręki musi w jakiś sposób do chałtury przylegać. Pewnie: jest w tym wyznaczeniu sporo minoderii, choć zauważmy, że autorkę stać chwilami na krytycyzm wobec swej twórczości i jakości talentu. „Mam chyba łatwość pisaną. To dar losu niezwykle podejrzany, ta moja umiejętność graniczy z grafomanią[...]” – stwierdzała Osiecka na początku lat dziewięćdziesiątych²¹. Wcześniej zaś miała mawiać: „[...] to jest skandal, że mam taką łatwość pisaną”. I, jak zauważała wspominając jej słowa przyjaciółka, „t o b y ł a p r a w d a”²².

Ów „podejrzany dar”, z właściwą sobie niefrasobliwością wspomniany przez autorkę megahitu *Niech żyje bal* nie ma istotnie wiele wspólnego z podnoszoną przez Marię Janion „sztuką jedynego nazywania”. „Jeśli chodzi o warsztat – jestem zdolna jak małpa. Podejmuję się napisać wierszyk choćby w języku suahili. To trochę demoralizuje. Poczucie formy w jednej dziedzinie sztuki sprawia, że człowiekowi nie chce się już próbować niczego innego.” – pisze skromnie Osiecka²³, ale gdy to czytam, oczom nieodparcie narzuca się obraz *l w i c y*, przeciągającej się z wystudiowaną, salonową gracją, istotnie „trochę zdemoralizowanej”...

Na Bałkę mówisz – czupiradło,
na Kałkę mówisz – beksa,
coś głupiego cię napadło,
trującego zjadłeś kekasa...

Kto się przezywa,
sam się tak nazywa,
kto palcem w bucie kiwa
podrze mu się but,
przecież oliwa bywa sprawiedliwa,
więc radzę ci oliwy ciut.
Na Indian mówisz, że to dzicy
Na czarnych mówisz – osły,
Chyba wpadłeś do piwnicy
Lub małpujesz złych dorosłych.²⁴

Czy istotnie ktoś, kto pisze podobne utwory, mówiąc zarazem, że posiadał „poczucie formy w jednej dziedzinie sztuki” wie, co mówi? Czy rzeczywiście tekst, którego fragmenty przytoczyłem, jest świadectwem Osieckiej „sztuki jednego

nazywania”?! Pytania pozostawiam bez odpowiedzi. Chcę przecież od razu odeprzeć narzucające się, być może, inkryminacje²⁵.

Po pierwsze więc – że mamy do czynienia z utworem dla dzieci. Kontrargument – Tuwim. Przez znakomitą większość komentatorów dzieła Osieckiej, i przez nią samą, traktowany jako najważniejszy antenat – Tuwima więc twórczość dla najmłodszych czytelników, to, wedle mnogich opinii, wszak ta część puścizny autora *Ptasiego radia*, która, obok arcydziełnego *Balu w operze*, najlepiej wytrzymuje próbę czasu. Przypominam, że Tuwim także sięgał do kolokwialnych pokładów języka dzieci, że skwapliwie stosował frazeologizmy i naśladował dziecięce praktyki wypowiedzeniowocze. Z jakimż jednak innym rezultatem...

Po drugie – mam świadomość, że jak pisze w klasycznym już opracowaniu Anna Barańczak, piosenka estradowa posługuje się nader szczególną ekonomią środków poetyckich, wśród których na plan pierwszy wysuwa się dążenie do tego, by tekst słowny typowej piosenki komercyjnej nie zatrzymywał na sobie uwagi²⁶. Tego usprawiedliwienia nie użyłaby przecież Osiecka dla swojej twórczości...

Teatr, obok którego, a dokładniej: „z a” którym lokuje Osiecka swe życie i dzieło, to raczej na pewno nie teatr dramatyczny. To przybytek, gdzie króluje lżejsza muza: wystawia się tam musicale, śpiewogry, „polit-operetki”...

Najgorsze jednak – pod poetyckim, i pod każdym innym względem – jest rekwizytorium, w którym, z odczuwalnym upodobaniem, lokuje Osiecka swoją osobę i własne twórcze dokonania zarazem. Kura i para kociąt – to żywy inwentarz w zagrodzie poetessy. (Stosując miano bez intencji: wszak używają go w identycznym znaczeniu hagiografowie Osieckiej...) Ów inwentarz jest na tyle konwencjonalny – i jednak na tyle tandetny! – że nie warto chyba poświęcać mu miejsca. Zresztą – dalej wcale nie jest lepiej: dowiadujemy się mianowicie, że autorce towarzyszą na co dzień „polityka, kiszka, bez”; niekwestionowany jest od czasów „Mistrza Ildefonsa” poetycki charakter takich rekwizytów... Wreszcie towarzysz naszej autorki – jedno wiemy o niej na pewno:

że „tak by chciała damą być” – osobnik, którego dystynkcją jest przedmiot codziennego użytku: korkociąg...

Komu piosenkę, komu?
Sentymentalną, tkliwą, banalną,
Piosenka przyda się w domu.

– śpiewał w latach pięćdziesiątych Maciej Kolesnik; niestety nie udało mi się jeszcze ustalić autora tekstu, stwierdzając potem, że ma w ofercie m. in. piosenki „t w a r z o w e, smutne i płochę”.

Wydaje się, że – przy całym uproszczeniu – ta definicja w jakiś sposób oddaje istotę piosenki estradowej. Musi być więc ona odpowiednio sentymentalna i tkliwa, powinna być naiwna i nie za mądra, musi zawierać, odpowiednio silną, uśmierającą dozę banału. No i musi być „twarzowa”: musimy – w niej, poprzez nią – po prostu się sobie podobać...

Pisze Jacek Łukasiewicz:

Każdy prawie potrzebuje sentymentalnych ułatwień i sentymentalnych odtrutek. W nieskończonej, ciągłej komplikacji życia i uczuć, kiedy nic nie jest proste, a wszystko złożone, wtedy na pół serio przyjmuje się słowa głupie, banalne, nieprawdziwe w swych uproszczeniach. Sentymentalna piosenka działała na system kojarzenia, co prawda słabiej od wódki, ale za to pozostawiała konsumentowi dłużej przekonanie o własnej szlachetności.²⁷

Autor, co w tym miejscu mocno chcę podkreślić, zwraca następnie uwagę na to, by do „tekścików nie dopasowywać własnych uczuć, aby się nimi nie rozgrzeszać”, wspominając także, jak niebezpieczne jest czynienie z kabaretu świętości narodowej.

Nie komentując tej przestrogi pragnę jedynie zauważyć, że potrzeba zażywania sentymentalnych odtrutek jest nie u wszystkich jednakowa. Dodając na koniec w ścisłym związku z bohaterką niniejszych uwag: czytanie Osieckiej, słuchanie piosenek z jej tekstami może być, bywa, jest – dla mnie! – używaniem „sztucznego miodu”.

Andrzej Kotliński

Doktor w Instytucie Filologii
Polskiej UWM, literaturoznawca,
krytyk literacki, autor m.in. książki
„Mistrz >czerwonego rymu<:
Słowacki”, IBL, Warszawa, 2000

Przypisy

1. Cyt. za: Z. Turowska, *Agnieszki. Pejzaże z Agnieszką Osiecką*, Warszawa 2000, s. 198.
2. Tamże, s. 34. Zresztą Andrzej Drawicz, jeden z akolitów STS-u jest przecież np. autorem popularnej monografii twórcy *Zielonej Gęsi*.
3. A. Osiecka, *Zabawy poufne*, Warszawa 1990, s. 5.
4. J. Łukasiewicz, *Gdyby miało inną formę*, [w: tegoż]: *Szmarciarze i bohaterowie*, Warszawa 1963, s. 151.
5. J. Błoński, *Tradycja, ironia i głębsze znaczenie*, cyt. za: *Poznanianie Herberta*, wybór i wstęp A. Franaszek, Kraków 1998, s. 56.
6. Cyt. za: A. Osiecka, *Sentymenty*, Toruń 1996, s. 85.
7. Cyt. za: A. Osiecka, *Sztuczny miód*, Warszawa 1977, s. 65.
8. Z. Turowska, dz. cyt., s. 200. Podkreślenia w przytoczonym fragmencie moje – A. K.
9. Wspomina Mieczysław Jahoda: „Czasem naprawdę starała się pokazać, że jest damą, zamożną, wysoko skolegającą i w ogóle światową”, tamże s. 241, podkr. moje – A. K.

10. Tamże, zob. np. s. 64, 141.
11. Tamże, s. 221.
12. Tamże, s. 204–205. Podkreślenie w przytoczonym fragmencie moje – A. K.
13. Tamże, s. 94–95.
14. Tamże, s. 94. Podkreślenia w cytowanym fragmencie moje – A. K.
15. Cyt. za: A. Osiecka, *Sentymenty*, dz. cyt., s. 77–78.
16. Tamże.
17. „Była przyzywczajona do kontaktów z ludźmi władzy. Już przecież w latach sześćdziesiątych zaprzyjaźniła się z tymi, którzy później sprawowali ważne funkcje w państwie. Ci ludzie władzy zapraszali ją na swoje salony, snobowali się na nią. A ona chodzila, ale nie ona jedna przecież. Nie dręczyła się wyborami moralnymi”. Z. Turowska, *Agnieszki...* s. 221.
18. Zob. A. Osiecka, *Sztuczny miód*, dz. cyt., s. 88.
19. Z albumu *Wsiąść do pociągu* Maryli Rodowicz, Pronit SX

- 1681 (1978r.). Serdecznie dziękuję Jerzemu Peruckiemu za pomoc w odnalezieniu i zlokalizowaniu tego utworu.
20. Z. Turowska, *Agnieszki...* s. 186.
21. Tamże, s. 187.
22. Tamże, s. 188. Podkr. moje – A. K.
23. Tamże, s. 186.
24. *Kto się przezywa*. Cyt. za: A. Osiecka, *Śpiewające piaski*, Warszawa 1990, s. 14.
25. Co się tyczy elementów tradycji obecnych w tym utworze, to stwierdzić należy, że jest ona „nowa” i „postępowa” – uogólnienie się m. in. zasady poprawności politycznej, sugerując np. pajdokrację jako rozwiązanie...
26. A. Barańczak, *Słowo w piosence. Poetyka współczesnej piosenki estradowej*, Wrocław 1983, s. 94.
27. J. Łukasiewicz, *Czy tutaj mieszka...?*, dz. cyt., s. 147, 148.

Utopia internacjonalizmu

– realizm inwigilacji

Polityka narodowościowa krajów tzw. realnego socjalizmu wzbudza duże zainteresowanie nie tylko historyków zajmujących się dziejami najnowszyimi. Badania realizowane w oparciu o niegdyś zupełnie niedostępne archiwa tajnych służb pozwalają uzyskiwać coraz głębszą wiedzę co do motywów, celów i praktyki politycznej władz komunistycznych w stosunku do mniejszości narodowych.

JERZY NECIO

W dniach 21–23 kwietnia bieżącego roku odbyła się we Wrocławiu międzynarodowa konferencja pt. „Internacjonalizm, czy ...? Działania organów bezpieczeństwa państw komunistycznych wobec mniejszości narodowych (1944–1989)”. Seminarium, goszczące historyków z Polski, Białorusi, Czech, Litwy, Niemiec, Rosji, Słowacji i Ukrainy, zostało zorganizowane przez: Instytut Pamięci Narodowej Oddział we Wrocławiu, Instytut Historyczny Uniwersytetu Wrocławskiego, Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka – Jeziorańskiego oraz Centrum Informacji i Rozwoju Społecznego we Wrocławiu.

Fundamentalne założenie ideologiczne marksizmu, to jest tzw. „internacjonalizm proletariacki” wprowadzony w życie najpierw w Związku Radzieckim, był następnie propagowany i narzucany siłą wszędzie tam, dokąd dotarły wojska Armii Czerwonej. „Internacjonalizm” znalazł się w konflikcie z dążeniami narodów Europy Środkowo – Wschodniej do samostanowienia pod koniec II wojny światowej i po jej zakończeniu. Nowe granice, przyzwolenie mocarstw na masowe przesiedlenia oraz to, co znacznie później określono jako „czystki etniczne”, spowodowały, że w utworzonych w naszej części Europy krajach komunistycznych stanęły naprzeciw siebie państwowe siły bezpieczeństwa i mniejszości narodowe.

W oparciu o wybrane wystąpienia z wrocławskiego sympozjum chciałbym czytelnikom „Debata” nieco przybliżyć najnowszy dyskurs toczący się wokół instrumentarium realizacji postulatów internacjonalistycznych.

„Naród komunistyczny”

Wśród bardzo wielu tematów konferencji moją uwagę przyciągały poruszane co chwila w różnych wypowiedziach wątki związane z dziejami Ukraińców

w XX w. Nie udało się im po I wojnie światowej uwieńczyć sukcesem starań o zbudowanie trwałej państwowości. Jako duży naród stali się mniejszością w II Rzeczypospolitej, w Czechosłowacji i w Rumunii. Sowiecka Ukraina była w tym samym czasie obszarem, w którym przystąpiono do realizacji projektu komunistycznego – mówiąc obrazowo – z wypisanym na sztandarach hasłem „internacjonalizmu”. Narzędziem partii bolszewików wcielającym w życie nową dewizę stały się organa NKWD. Celem strategicznym Lenina było „złanie się narodów”, denacjonalizacja, utworzenie jednego quasi – narodu, tj. „ludu komunistycznego”. Dla osiągnięcia takiego celu główny ideolog bolszewizmu był gotów na taktyczny zwrot, tj. na dopuszczenie przez pewien czas zasady „samookreślenia narodów” – stąd tzw. „ukrainizacja” – renesans języka i kultury ukraińskiej w wydaniu komunistycznym, zakończony zresztą szybko w drugiej połowie lat dwudziestych, po opanowaniu Kremla przez Stalina. Nowy przywódca ZSRS świadom, że komunizm nie uda się roznieść po całym świecie, realizował tę ideologię wewnątrz własnego państwa, przez co nabrała ona cech jakby „narodowego komunizmu” lub „imperialnego nacjonalizmu”, bardzo podobnego do nacjonalizmu rosyjskiego. Rosjanie, którzy na Ukrainie byli mniejszością, stali się tu elitą władczą. Podczas seminarium mówiła o tym docent Iryna Musiienko z Charkowa.

W chronologicznym wykładzie zwróciła uwagę, że za Chruszczowa zakładano dojsie w ZSRS do takiej sytuacji, w której poszczególne republiki stałyby się tylko pojęciami geograficznymi. Ów „postęp” kontynuował Breżniew. Chciano wówczas zupełnie pozbawić Ukraińców narodowej identyfikacji. Od lat 60. formułowano ahistoryczne twierdzenia, upowszechniane następnie w publikacjach. Do społecznej świadomości miały przeniknąć m.in. następujące mity:

- narody wchodzące w skład ZSRS przyłączyły się do tego państwa dobrowolnie,
- ruchy narodowe były w historii ruchami reakcyjnymi,
- Ruś Kijowska to nie jest fragment historii Ukrainy,
- Ukraińcy nie są samodzielnym narodem, są grupą etniczną pomiędzy Polakami a Rosjanami.

Uzupełnieniem tych zabiegów było przemilczanie wielkiego głodu i udziału Ukraińców w walce z faszyzmem w okresie II wojny światowej. Docent Musiienko swoje wystąpienie zakończyła wnioskiem, będącym powtórką konstatacji dokonanej przez Iwana Dziubę, pisarza z pokolenia lat sześćdziesiątych tzw. „szestydesiatnykiw”: internacjonalizm, to najbardziej niebezpieczny gatunek rosyjskiego nacjonalizmu.

W trybach III Rzeszy i ZSRS

Znakomite poszerzenie wypowiedzi doc. Musiienko, tyle że w dziedzinie stosunków międzynarodowych, znalazłem z wykładzie profesor Albiny Noskovej z Rosyjskiej Akademii Nauk. Omawiała ona geopolityczne aspekty problematyki mniejszości narodowych z obszaru Europy Wschodniej z pierwszej połowy XX wieku i odniosła się do sprawy ukraińskiej. Odtajnione dokumenty wywiadu sowieckiego, do których miała dostęp prof. Noskova, świadczą o tym, że Kreml był bardzo zaniepokojony działalnością ukraińskich ośrodków politycznych znajdujących się na terenie II Rzeczypospolitej. Nowe dane pozwalają także w inny sposób spojrzeć na wydarzenia z jesieni 1938 r., zwane kryzysem czechosłowackim oraz pakt Ribbentrop – Mołotow, nie tylko jako na zaprojektowany w 1939 r. rozbiór Polski, ale także jako rozstrzygnięcie nabrzmiałej kwestii ukraińskiej.

Moskwa obawiała się wówczas o bezpieczeństwo ukraińskiego odcinka zachodniej granicy ZSRS. Dokumenty sowieckiej „razwiedki” świadczą, że przed konferencją monachijską (1938 r.) i w czasie jej trwania problem ukraiński był bardzo pilnie obserwowany nie tylko w Berlinie, ale i w pozostałych stolicach europejskich. Moskwa pozyskiwała w tej mierze bardzo dużo informacji zarówno od agentury, jak i z prasy europejskiej. Informacje docierały bezpośrednio do Stalina, Jeżowa i Berii. Kryzys czechosłowacki wywoływał spekulacje co do przyszłości Rusi Zakarpackiej. Dla Ukraińców kraj ten mógł odegrać rolę Piemontu i jak się okazuje wojskowe koła niemieckie rzeczywiście liczyły na rozwój „ukraińskiej

irredenty”, podobnie oczekiwano na antysowieckie wystąpienie Japonii. Wojskowi niemieccy nawoływali Hitlera do umiaru w sprawie Czechosłowacji, gdyż wiedzieli, że Anglicy poparliby ukraińską państwowość wspomaganą przez Niemców na obszarze Zakarpacia, podobnie Francuzi. Rząd w Paryżu byłby spokojny o los Alzacji i Lotaryngii, gdyby uwaga Niemców skupiła się na Rusi Zakarpackiej.

Gdy w styczniu 1939 r. Sowieci zyskali pewność co do tego, że Anglia i Francja nie będą oponować przeciwko niemieckiemu poparciu sprawy ukraińskiej, w Moskwie zaczęto poważnie obawiać się agresji na sowiecką Ukrainę. Przewidywano ją na wiosnę tego samego roku. Kreml tymczasem próbował zorganizować na Zakarpaciu własną agenturę, podobnie zainteresował się sprawą Galicji Zachodniej. Mimo, że region ten nigdy nie należał do Rosji, dla NKWD – jak widziano to z pozycji Kremla – nie stanowiłoby problemu po ewentualnym zdobyciu Galicji, powstanie licznej mniejszości polskiej na powiększonej o tę ziemię sowieckiej Ukrainie. I jakkolwiek złowrogo by to zabrzmiało, dla sowieckiej bezpieki stłumienie sprawy polskiej w Galicji „byłoby kwestią techniki i czasu”.

W tym aspekcie z wystąpieniem prof. Noskovej bardzo korespondowała wypowiedź profesora Mikołaja Iwanowa. Sytuację Polaków w ZSRS w okresie apogeum stalinowskich „czystek” porównał do sytuacji Żydów w III Rzeszy. Zauważył,

że w historiografii niemal zapomniano o Polakach eksterminowanych w drugiej połowie lat 30. na obszarze Związku Sowieckiego. Jedno z głównych skupisk mniejszości polskiej w ZSRS – „Marchlewszczyzna” – znajdowało się w okolicach Żytomierza na Ukrainie. Mikołaj Iwanow – niegdyś dysydent, a obecnie historyk z Uniwersytetu Opolskiego, przytoczył dane, z których wynika, że w 1938 r. aresztowano 143 tys. osób narodowości polskiej, z czego 80 % skazano na śmierć. Na spisach nazwisk rozstrzelanych w okresie „wielkiego terroru” widniały dopiski: „polski faszysta”, stąd dla ówczesnego pokolenia Rosjan faszyzm kojarzył się najpierw z Polakami, a dopiero później – po 1941 r. – z Niemcami.

Trudno nie zastanawiać się nad innymi opiniami prof. Iwanowa, chociażby w kwestii poświęcania uwagi ofiarom Katynia i ofiarom „wielkiego terroru”. Proponuje on inaczej rozkładać akcenty, skoro liczba ofiar „wielkiego terroru” przewyższa kilkakrotnie liczbę zamordowanych w Katyniu. Dla prof. Iwanowa „wielki terror” miał „polski kształt”, a Polacy byli „pierwszym narodem ukaranym”.

W rozumieniu Stalina powersalska Polska stanowiła państwo faszystowskie, a jej rozbitcie przez Armię Czerwoną stwarzało możliwość poszerzenia granic państwa budującego komunizm. W latach 1939–41 na opanowanych przez Sowieców obszarach Galicji i Wołynia organy nowej władzy wysuwały hasła „sprawiedliwości

społecznej”, szerzyły swoisty „kult przemocy wobec burżujów” i otwarcie zachęcały ukraińskich chłopów do napadów na dwory i przedsiębiorstwa. Po agresji III Rzeszy na ZSRS w 1941 r. działały tu sowieckie grupy dywersyjne starające się utrzymać stan anarchii na tyłach wojsk niemieckich. Sowieci wymagali, by ukraińscy wieśniacy wspomagali ich wywiadowczo przeciw Niemcom, ale też przeciw OUN – UPA. Armia Czerwona, zajmując ponownie w 1944 r. Wołyń i Galicję, zastała społeczność biedną i wycieńczoną, ale zorganizowaną, w tym też militarnie.

Działania władz sowieckich ukierunkowano na wyeliminowanie UPA i AK oraz osób je popierających. Profesor Igor Ilyushyn z Kijowa przedstawił mechanizm dezinformacji jako instrument polityki „divide et impera” stosowany przez Sowieców wobec ludności polskiej i ukraińskiej w latach II wojny światowej i po jej zakończeniu. Mówił o ogromnej liczbie zeznań odebranych przez NKWD od pojmanych akowców i upowców mających świadczyć o współpracy AK i UPA z Niemcami. Zapotrzebowanie sowieckiego aparatu bezpieczeństwa na potwierdzenie faktów takiej współpracy każe z dużą ostrożnością podchodzić do dokumentów wytworzonych wtedy przez NKWD. Rok 1944 oznaczał otwarcie nowego etapu antagonizmu polsko – ukraińskiego. Polacy i Ukraińcy w obliczu wspólnego wroga zawierali, co prawda, lokalne układy, ale do ogólnego zawieszenia broni pomiędzy tymi stronami nie doszło. OUN – UPA i AK zostały rozbite.

Homogenia

Polscy komuniści, najpierw w Moskwie, a później w kraju, przyjęli ideę budowy nowej Polski jako państwa jednolitonarodowego. Zwolennikiem państwa homogenicznego pod względem narodowościowym był chociażby Władysław Gomułka. PPR określała się jako partia narodowa. Profesor Grzegorz Strauchold, znawca problematyki ludności autochtonicznej, stwierdził, że z bardzo dużą nieufnością patrzono na Niemców mających ochotę wstąpić do PPR-u, partii nominalnie „internacjonalistycznej”. Po 1945 r. władze odmiennie traktowały poszczególne mniejszości narodowe, brano przy tym pod uwagę ich liczebność i stopień skonfliktowania z polską większością.

Komuniści w Polsce zdawali sobie sprawę, że przesiedlenia całych grup mniejszości narodowych były społecznie akceptowane i to z kilku powodów. Po pierwsze – wysiedlenia Niemców i wymiana ludności z odpowiednimi re-



Aula Leopoldyńska Uniwersytetu Wrocławskiego. Z lewej prof. Włodzimierz Suleja, z prawej dr Jarosław Syrnik. Fot. Mariusz Humecki

publikami Związku Sowieckiego zostały „usprawiedliwione” postanowieniami i umowami międzynarodowymi, a po drugie – doświadczenia wojenne wpłynęły na postrzeganie usunięcia „obcego” jako faktu na pewno nie negatywnego.

W okresie umacniania się władzy komunistów w Polsce, około 1949 r., gdy już nie trzeba było, jak się wyraził prof. Grzegorz Hryciuk, „kobietować” społeczeństwa polityką nacjonalistyczną, zaczęto modyfikować dotychczasowy stosunek do mniejszości. Zmiany zaczęły się zarysowywać jeszcze przed rokiem 1956. Natomiast w przełomowym czasie 1956 roku pozwolono na założenie towarzystw społeczno – kulturalnych, po jednym dla każdej narodowości (najpóźniej, w kwietniu 1957 r. powstało Litewskie Towarzystwo Społeczno – Kulturalne). Wkrótce owe organizacje władze zaczęły traktować jako narzędzie nacisku na przedstawicieli mniejszości.

Na przykładzie Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno – Kulturalnego łatwo zauważyć, że już od zarania istnienia tejsze organizacje najbardziej artykułowana przez ludność ukraińską potrzeba tj. otwarcie możliwości powrotów w rodzinne strony, została zlekceważona na rzecz umożliwienia Towarzystwu różnych przedsięwzięć, np. na niwie kultury. Dbano przy tym, aby w UTSK nie zaczął górować tzw. „nurt nacjonalistyczny”.

Towarzystwa „mniejszościowe” były przez cały okres PRL finansowe oraz kontrolowane administracyjnie i operacyjnie przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Ośrodek kreowania całokształtu polityki „ludowego” państwa wobec mniejszości narodowych około połowy lat 60. – według prof. Eugeniusza Mironowicza – przemieścił się z Komitetu Centralnego PZPR do resortu spraw wewnętrznych (MSW).

Dekada gierkowska, charakteryzująca się hasłem budowania w Polsce Ludowej „jedności moralno – politycznej narodu”, skazywała działalność towarzystw mniejszościowych na pełną dyspozycyjność i stagnację. W latach 80. sytuacja zaczęła się zmieniać. Mniejszości zostały zauważone, gdyż przedstawiciele ówczesnej opozycji zainteresowali się także kwestiami narodowościowymi. Władze próbowały z korzyścią dla siebie reagować na ukazanie się spraw narodowościowych, podtrzymując jednocześnie negatywne stereotypy na temat mniejszości lub próbując wykorzystać fakt istnienia „innych” do konsolidacji społeczeństwa i walki z opozycją.

Uwarunkowania polityczne, liczebność danej grupy mniejszościowej stanowiły według doktora Jarosława Syrnyka główne czynniki, od których zależała in-

tensywność podejmowanych działań aparatu bezpieczeństwa PRL. Istotą działań SB w płaszczyźnie personalnej była wielokierunkowość. Można stwierdzić inwigilację osób, które były w zakresie zainteresowania nawet kilku pionów bezpieki. Ten sam człowiek w jednej sprawie mógł być np. tajnym współpracownikiem, zaś w innej poddawany był kontroli jako figurant. Takie wnioski wypływają z rozpoznania metod pracy operacyjnej organów bezpieczeństwa. Otwartym nadal pozostaje jednak szereg pytań ogólniejszej natury, np. czy grupy narodowe były specjalnie wyodrębnione jako przedmiot inwigilacji tylko dlatego, że były mniejszościami, czy też może ich inwigilacja była narzędziem realizacji szerszej polityki narzuconej przez stronę sowiecką?

Treści konferencji śledziłem głównie przez pryzmat tematu ukraińskiego, ale myślę, że dla rozważań o mechanizmie konfrontacji: państwo komunistyczne i jego aparat bezpieczeństwa wobec mniejszości narodowych, wątek ten nie jest najważniejszy. Okazuje się bowiem, że metody stosowane przez władze krajów „demokracji ludowej” były podobne. Paradoks polegał na tym, że w propagandzie posługiwano się ideologią internacjonalizmu, natomiast w praktyce nie dopuszczano do swobodnego okazywania i wyrażania tożsamości. Kulturowanie tradycji narodowych wiązało się z oskarżeniami o nacjonalizm.

W arsenale środków stosowanych wobec mniejszości narodowych początkowo mieściły się wysiedlenia (w Czechosłowacji planowano np. wysiedlenie Polaków z Zaolzia), a następnie kontrola administracyjna, inwigilacja i represje (np. w 1983 r. Miklos Duraj sporządził raport na temat przesładowań Węgrów na Słowacji, za co został aresztowany). Odróżniano „dobrych” i „złych” przedstawicieli danej narodowości (np. po powstaniu NRD kreowano wizerunek „dobrego Niemca”). Wykorzystywano też przedstawicieli mniejszości do rozpracowywania ich rodaków za granicą (np. akcja „łączenia rodzin” służyła dla SB PRL do infiltracji ziomkostw w RFN). Cel tych wszystkich działań pozostawał niezmienny – chodziło o pełne podporządkowanie całości społeczeństwa władzy państwa komunistycznego.

Nauczyciel historii, Ukrainiec o łemkowskich korzeniach ur. w 1962 r. w warmińskim Braniewie, publikował m.in. w wydawnictwach Wspólnoty Kulturowej „Borussia” do której należy. Zainteresowany historią regionalną i dydaktyką historii



JERZY NECIO

Donald Wielki

Dokończenie ze s. 11

szone nie tylko przez Greków, lecz przez prawie wszystkich członków strefy euro, także tych największych”, ale „agresywne spekulacje przeciwko złotemu przed rokiem były nauką, iż Polska możliwie szybko powinna przystąpić do strefy euro”. Po co, Panie Premierze? Żeby spłacać długi Greków? Nie wystarczy tych, które – podążając linią postępowania wszystkich poprzednich rządów – zaciągnął (i nadal zaciąga) również Pański rząd?

I co oznacza stwierdzenie, że „próbujemy realistycznie oszacować czas, jakiego potrzebujemy, by wypełnić wszystkie kryteria”? Czyżby we wrześniu 2008 oceniał Pan ten czas „nierrealistycznie”?

Rację ma Pan Premier tylko w tym, że „nasz kraj przeszedł przez kryzys, którego Grecy nie mogliby sobie wyobrazić nawet w najgorszych snach – przez kryzys komunizmu”. Jednak Grecy przechodzą od lat przez kryzys niewiele mniejszy – kryzys socjalizmu. Socjalizm zapewniał im względne wolności polityczne i osobiste, ale w sferze ekonomicznej zniewalał nie dużo mniej, niż komunizm. I takie właśnie socjalistyczne zniewolenie funduje nam obecnie rząd Pana Premiera.

Pan Premier dodał, że „że nikt nie może oczekiwać, iż nowe kraje UE będą ponosić ciężary finansowe tylko dlatego, że inne państwa ze strefy euro lekkomyślnie wydają pieniądze”. Czyżby rząd Pana Premiera nie wydawał lekkomyślnie pieniędzy? To skąd dziura budżetowa w wysokości 50 mld zł???

Jak pamiętamy z historii, marszałek Piłsudski wysiadł z tramwaju z napisem „socjalizm” na przystanku „Niepodległość”. Pan redaktor Szelaż z PolSATu trafnie zauważył, że PO wysiadła z tramwaju z napisem „Wolność” na przystanku „Władza”.

Dla Karola Wielkiego władza była instrumentem. Dlatego został „Wielkim”. Dla dzisiejszych polityków władza jest celem. Niestety.

www.blog.gwiadzowski.pl

Prawnik i ekonomista, komentator gospodarczy, ekspert w dziedzinie podatków w Centrum im. Adama Smitha, doktor habilitowany nauk prawnych.



ROBERT GWIAZDOWSKI

Wyjście poza „błędne koło”

Z Jarosławem Syrnykiem, pracownikiem naukowym IPN rozmawia Jerzy Necio

Jerzy Necio: Jaki jest główny sens i na czym według Pana polega przydatność badań historycznych nad dziejami mniejszości narodowych?

J.S.: Jarosław Syrnyk: Myślę, że badania takie można rozpatrywać na kilku płaszczyznach. Najważniejszą z nich moim zdaniem jest płaszczyzna uniwersalna, ogólnoludzka, humanistyczna. Bardzo często zdarza się, że badający jakieś zbiorowości naukowcy opisują je głównie w kategoriach narodowych, wyznaniowych czy społecznych, zapominając przy tym, że chodzi tu przede wszystkim o istoty ludzkie. Tworzy się przy tym zmitologizowany obraz przeszłości, który - chcąc nie chcąc - jest przekazywany następnym pokoleniom. Zamiast „nauki historycznej” pojawia się zatem, na różnym poziomie społecznym i w różnych kontekstach, zupełnie coś innego. Wyjście poza to „błędne koło” jest bardzo trudne.

Druga, związana z poprzednią płaszczyzną „przydatności badań historycznych nad dziejami mniejszości” odnosi się bezpośrednio do osób odczuwających emocjonalną więź z opisywanymi wydarzeniami. Chodzi tu zarówno o pojedyncze osoby, jak i większe zbiorowości, np. osoby identyfikujące się z określonym narodem, wyznaniem, grupą społeczną itd.

J.N.: Jaką zatem rolę spełniają badania historii najnowszej dla środowisk „mniejszościowych”?

J.S.: Chciałbym, aby przede wszystkim były one postrzegane w kategoriach uniwersalistycznych. Dochodzi tu jednak do zderzenia oczekiwań określonej grupy, oczekiwań dodajmy często zupełnie przeciwstawnych wobec sposobu opisu wydarzeń historycznych. Dominującą postawą jest niestety, i nie dotyczy to z pewnością tylko osób spośród mniejszości narodowych, oczekiwanie na opis apoteozujący przeszłość danej grupy. W takiej konstrukcji myślowej od historyka oczekuje się „spełnienia misji”, dostarczenia argumentów w bieżącej dyskusji itp. Przyznając się przykrością, że wielu moich kolegów ulega takiej presji. A historyk powinien starać się jej nie ulegać. Na tym chyba po-

lega jego główna rola i taki chyba jest podstawowy sens badań historycznych.

J.N.: Który okres z przeszłości jest najtrudniejszy do zbadania, opisania, jeśli chodzi o mniejszości narodowe?

J.S.: Myślę, że najtrudniej badać okresy najtragiczniejsze w historii, naznaczone martyrologią pojedynczych osób i całych grup. Niezależnie od ich narodowości.

J.N.: Proszę powiedzieć, czy w obszarze zainteresowań IPN znajduje się problematyka ujmująca najnowsze dzieje mniejszości narodowych? Na ile intensywnie badane są relacje: organy bezpieczeństwa - poszczególne grupy mniejszości narodowych?

J.S.: IPN jest jednym z wiodących ośrodków naukowych w kraju. Prowadzi badania dotyczące działań aparatu bezpieczeństwa wobec różnych grup społecznych. Jedną z takich, dających się wyodrębnić na podstawie posiadanej dokumentacji grup, są mniejszości narodowe. Zasób archiwalny w tym zakresie jest bardzo duży, co świadczy o ogromnej intensywności działań dawnych służb specjalnych wobec mniejszości. Dlatego też kilka lat temu podjęta została decyzja o zainicjowaniu centralnego projektu badawczego pod nazwą „Aparat bezpieczeństwa wobec mniejszości narodowych”. Jego koordynatorem był na początku prof. Grzegorz Motyka, a od 2008 r. jestem ja. W ramach projektu wydane zostały dwa tomy studiów, zorganizowanych zostało kilka konferencji, których pokłosiem także były publikacje. Ostatnia z konferencji odbyła się w kwietniu br. we Wrocławiu.

Oprócz tego wśród pracowników IPN jest kilka osób prowadzących własne badania nad historią mniejszości narodowych, np. w oddziale białostockim, rzeszowskim, lubelskim, warszawskim, wrocławskim i innych.

J.N.: Jaki jest według Pana odbiór działań ipeenowskich wśród przedstawicieli mniejszości? Jak oni je oceniają?

J.S.: Odbiór naszej pracy w środowiskach mniejszości jest zapewne zróżnicowany. Mam wrażenie, że rozkład opinii

pozytywnych i negatywnych jest podobny jak w całym społeczeństwie.

J.N.: Co zaliczyłby Pan do najważniejszych osiągnięć konferencji „Internacjonalizm, czy ...?”? Kiedy ukażą się materiały z konferencji?

J.S.: Materiały pokonferencyjne ukażą się w przyszłym roku. Natomiast co do konferencji - myślę, że najważniejsza była możliwość zderzenia ze sobą bardzo różnych niekiedy poglądów na kwestie, wokół których toczyła się dyskusja, a więc na temat działań prowadzonych wobec mniejszości narodowych w poszczególnych krajach bloku komunistycznego w Europie. Udział naukowców z różnych ośrodków naukowych Polski oraz gości zagranicznych ukazał, mam nadzieję, problem mniejszości od zupełnie nowej strony. Polacy w Polsce stanowili większość społeczeństwa, ale już w dawnej Czechosłowacji byli mniejszością itd.

J.N.: Jest Pan autorem obszernej monografii Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno - Kulturalnego. Co było dla Pana najważniejsze przy konstruowaniu tej publikacji?

J.S.: Starałem się, żeby była to książka rzetelna.

J.N.: Wiadomo, że historyk badający dzieje najnowsze narażony jest na żywe reakcje świadków, osób pamiętających wydarzenia - jak Pan sobie radzi, poruszając się na tym polu?

J.S.: Miło jest słyszeć pochlebne słowa, ale nie muszą one wcale świadczyć pozytywnie o pracy. Z kolei krytyka tego, co robię, nie zawsze wynika z popełnionych przeze mnie błędów. Z uwagą śledzę opinie na temat swojej pracy. Jest to część mojego warsztatu. Staram się zrozumieć czyjeś racje, jednak muszę zachować wobec nich dystans.

Dziękuję za rozmowę.

Jarosław Syrnyk - dr historii, pracownik naukowy IPN we Wrocławiu i Instytutu Historii Uniwersytetu Wrocławskiego. W polu jego badawczych zainteresowań mieści się głównie problematyka występująca na styku: mniejszości narodowe a aparat bezpieczeństwa PRL. Autor książek: „Ukraińskie Towarzystwo Społeczno Kulturalne (1956-1990)” i „Ludność ukraińska na Dolnym Śląsku (1945-80)”; redaktor tomu pt. „Aparat bezpieczeństwa Polski Ludowej wobec mniejszości narodowych i etnicznych oraz cudzoziemców”, w którym zawarł artykuł „Rozpracowanie środowiska greckiego i macedońskiego na Dolnym Śląsku przez organa bezpieczeństwa w latach 1949-89”. Sekretarz Ukraińskiego Towarzystwa Historycznego w Polsce.

Mojemu śp. Ojcu, Edmundowi Kononowiczowi,
żołnierzowi II Brygady AK Wilno

Katyńskie dęby w Iławie

W Iławie 12.04.2010 r., na terenie Zespołu Szkół im. „Bohaterów Września 1939 roku” został poświęcony kamień przy zasadzonym Dębie Katyńskim dla uhonorowania pamięci majora Wojska Polskiego Izydora Kononowicza (mojego dziadka stryjecznego) urodzonego w 1901 r. w Małych Solecznikach k/Wilna, zamordowanego w Ostaszkwie, pochowanego w Miednoje.

ZBIGNIEW KONONOWICZ

Na początku uroczystości uczciliśmy minutą ciszy pamięć tragicznie zmarłych ofiar katastrofy pod Smoleńskiem, następnie odbył się Apel Poległych poświęcony zamordowanym w Katyniu, Miednoje i Charkowie.

Wszystko w ramach programu „Katyń ...ocalić od zapomnienia”, którego honorowym patronem był śp. Prezydent RP Lech Kaczyński.

Pomysłodawcą programu „Katyń ...ocalić od zapomnienia” jest Stowarzyszenie Parafiada, którego prezesem był ś.p. Ojciec Józef Joniec, który zginął tragicznie pod Smoleńskiem.

Celem Programu „Katyń ...ocalić od zapomnienia” jest uczczenie pamięci bohaterów zbrodni katyńskiej, a zarazem przywrócenie ich sylwetek zbiorowej pamięci narodu poprzez posadzenie 21.857 DĘBÓW PAMIĘCI na 70. rocznicę zbrodni katyńskiej. Każdy dąb upamiętnia konkretną osobę, która zginęła w Katyniu, Twerze lub Charkowie, według zasady jeden DĄB, to jedno nazwisko. W Programie uczestniczy już blisko 2.000 instytucji z Polski i spoza jej granic, więcej o programie można dowiedzieć się ze strony :

www.katyn-pamietam.pl



Uczestnicy uroczystości

Uhonorowanie pamięci mojego dziadka stryjecznego, majora Wojska Polskiego, Izydora Kononowicza, zamordowanego w Ostaszkwie w 1940 r. przez NKWD w programie „Katyń ...ocalić od zapomnienia” zaproponował mi Pan Władysław Kałudziński, prezes Stowarzyszenia PRO-PATRIA w Olsztynie, oczywiście zgodziłem się.

Pan Władysław Kałudziński, jako główny organizator i koordynator powyższej uroczystości, wspólnie z dyrektorem Zespołu Szkół im. „Bohaterów Września 1939 roku” Panem Edwardem Bojko oraz nauczycielem historii Panem Witoldem Koprowskim ustalili scenariusz uroczystości 70. Rocznicy Katyńskiej w dniu 12 kwietnia 2010 r. w Iławie na terenie Zespołu Szkół im. „Bohaterów Września 1939 Roku”. Dużą pomoc w organizowaniu uroczystości okazała Pani Teresa Kałudzińska żona Pana Władysława. Współorganizatorami uroczystości byli również „Członkowie Rodzin Katyńskich” – Oddział w Olsztynie oraz Delegatura Instytutu Pamięci Narodowej w Olsztynie.

W czasie uroczystości odbył się program poetycko-dydaktyczny przygotowany przez Panią Mirosławę Ciszewską-Karkulak i Panią Bernadetę Kozicką. Pan Prokurator Stefan Śnieżko, kierujący pracami ekshumacyjnymi w Katyniu, Miednoje i Charkowie, przedstawił historię badań Zbrodni Katyńskiej. Pani Renata Gieszczyńska z delegatury IPN w Olsztynie zorganizowała na terenie szkoły wystawę poświęconą Zbrodni Katyńskiej. Podczas uroczystości hymn narodowy i utwory muzyczne grała szkolna orkiestra. W uroczystości „duchowo” uczestniczył Pan Kazimierz Rochowicz, więzień polityczny stanu wojennego, który pomógł finansowo w wykonaniu Kamienia Katyńskiego.

Życiorys mojego dziadka stryjecznego majora Wojska Polskiego Izydora Kononowicza w oparciu o dokumenty i przekaz rodzinny.

*Życiorys napisany osobiście
przez Izydora Kononowicza*

Urodziłem się w majątku Małe Soleczniki gminy tejże w 1901 roku. Szkołę Powszechną skończyłem w Solecznikach . W roku 1918 pracowałem w tajnej organizacji POW. W roku 1919 przy zaborze Wilna wstąpiłem do Wojska Polskiego jako ochotnik do 11 Pułku Ułanów.

Przez cały czas służyłem w wojsku byłym na froncie, lecz opatrzością Boską strzeżony nie zostałem ranny, po zawieszeniu broni w 1920 roku zwolniono mnie jako małoletniego. Po wyjściu z wojska praco-

wałem jako organista w Parafii Mało Solecznickiej. Obecnie zajmuję stanowisko kierownika poczty w Maliczu służąc przy Dyrekcji Poczty i Telegrafów w Wilnie od 10 V 1926 r.

Dane z Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych

Kononowicz Izidor ur.1901 r., syn Feliksa, oficer WP rez.

Rozstrzelany w Twerze kwiecień-maj 1940 r., pogrzebany w Miednoje, według źródeł sowieckich i polskich.

Dane na podstawie dokumentów i przekazu rodzinnego

Od 1938 r był kierownikiem Urzędu Poczтового w Maliczu, woj. poleskie. Przed wybuchem wojny pracował na stanowisku drogomistrza w Rakowie i tam został zmobilizowany do rezerwy policyjnej.

oraz Bronisław Wędziagolski poseł na Sejm z BBWR. Bronisław Wędziagolski był bratem Karola Wędziagolskiego.

Karol Wędziagolski był doradcą Marszałka Józefa Piłsudskiego do kontaktów z Rosją.

Niedawno przeczytałem „Pamiętniki” Karola Wędziagolskiego.

Fragment dotyczący audiencji Karola Wędziagolskiego u Naczelnika Państwa.

„...- Proszę nadal zachować przyjazne stosunki z Rosjanami, bo czy my chcemy, czy nie chcemy, czy lubimy, czy się brzydzimy, musimy z nimi żyć o mieżę, a to wcale nie jest łatwe ani proste... Tylko uważajcie – po raz pierwszy Piłsudski użył zwrotu wy – ja ich znam dobrze i dawniej, niż wy ich znacie. Pamiętajcie, że dusza Rosjanina, jeśli nie każdego, to prawie każdego, jest przeżarta duchem nienawiści do każdego wolnego Polaka i do idei wolnej Polski. Oni są łatwi i zdol-

Pisząc ten artykuł muszę wspomnieć mojego dziadka rodzzonego Antoniego Kononowicza, starszego brata Izydora. Izidor był pod opieką mojego dziadka Antoniego.

Dziadek mój, Antoni Kononowicz, był od samego początku ochotnikiem – za-gończykiem u ppłk. Jerzego Dąmbrowskiego ps. Łupaszka. Dziadek urodzony w Małych Solecznikach koło Wilna w 1891 r. służył w Samoobronie Litwy i Białorusi, (Samoobronie Wileńskiej), a potem 13. Pułku Ułanów Wileńskich.

Brał udział w słynnym „rajdzie” z Białej Waki do Brześcia. (styczeń 1919 r.). Razem z dziadkiem służyli bracia Józef i Stanisław Mackiewiczowie, ksiądz Walerian Meysztowicz – przyjaciel Jana Pawła II, Tomasz Zan (prawuk Tomasza Zana Promienistego, przyjaciela Adasia Mickiewicza), Jan Kalenkiewicz, ojciec Macieja (założyciela formacji „Cichociemnych”), Eustachy hr. Sapieha, Jan hr. Tyszkiewicz, książe Włodzimierz Czetwertyński, był również z nimi rotmistrz Witold Pilecki (jako harcerz).

Oddział, właściwie pospolite ruszenie, na samym początku liczył około 500 za-gończyków, w tym 200 na koniach (dziadek na koniu był „furażowym” całego Pułku). Oddział przeszedł kilkusetkilometrową trasę w warunkach mroźnej zimy. Na trasie staczał potyczki z regularną Armią Czerwoną i Niemiecką.

„Rajd” zakończyli zdobyciem Brześcia, który był okupowany przez Niemców. W Brześciu weszli rzeczywiście w skład Armii Polskiej. Ksiądz Walerian Meysztowicz opisał to jako połączenie ostatniego pospolitego ruszenia Wielkiego Księstwa Litewskiego z Koroną.

Wszystkim organizatorom i uczestnikom tak pięknej uroczystości patriotycznej bardzo serdecznie dziękuję.

wnuk majora Wojska Polskiego
Izydora Kononowicza
mgr inż. **Zbigniew Kononowicz**



Po wybuchu wojny NKWD aresztowało go w Rakowie jako agenta kontrwywiadu współpracującego z II Oddziałem Sztabu Generalnego WP, zwalczającego bolszewików. Z obozu w Ostaszkowie żona Władysława otrzymała list w listopadzie 1939 r.

W lutym 1940 r. została wywieziona do Kazachstanu. Mąż jej został zamordowany prawdopodobnie w Kalininie (Twerze) i pogrzebany w Miednoje.

Posiadane odznaczenia:

1. Medal Dziesięciolecia ... ,
2. Medal „Polska Swemu Obrońcy”.

Na podstawie ostatnich danych został pośmiertnie awansowany na stopień majora.

W dokumentach osoby, które potwierdziły prawdziwość pracy niepodległościowej Izydora to Stanisław Mianowski sędzia Sądu Okręgowego w Wilnie

ni do uczucia nawet wielkiej przyjaźni i będą was kochać szczerze i serdecznie, jak brata, dopóki nie poczują, że w sercu swoim jesteście wolnym człowiekiem i boicie się ich miłości, w której dominującym pierwiastkiem jest żądza opieki nad wami, inaczej mówiąc: władzy. To jest skaza urodzeniowa ich duszy, dziedziczna i kilkusetletnia, za ich niewolę, za Tatarów, za Iwana, za opryczników, za odwieczne bunty topione we krwi.

Jeśli własna wolność jest nieosiągalna, wolność cudza wzbudza zawiść i odrzę. Jesteśmy od wieków zbyt bolesnym dla nich wzorem, zaprzeczeniem ich własnego losu. Obawiam się, że dużo czasu upłynie, zanim oni zrozumieją, że nikt i nic, chyba śmierć, odbierze nam prawa do wolności...”

Podziękowanie

Stowarzyszenie „Pro Patria” składa serdeczne podziękowanie Panu Jakubowi Zawadzkiemu, właścicielowi Sklepu z książkami „BEHEMOT” przy placu Konstytucji 3. Maja w Olsztynie, za finansowe wsparcie działań związanych z fundowaniem Stypendium im. Marcina Antonowicza.

Partyzant znad Biebrzy i Pisy

W „Biuletynie dziennym MBP” za 1949 r., znalazła się następująca informacja dotycząca aresztowań byłych członków konspiracji niepodległościowej: „14 czerwca we wsi Kąty, g. Jedwabne, pow. Łomża (...) aresztowany został [„Wilka”] ujawniony członek NZW – który pełnił funkcję zastępcy dowódcy patroli „Dzika” (...)”. Wspomniany w „Biuletynie” „Dzik” nazywał się Czesław Czyż. W konspiracji miał stopień plutonowego i rzeczywiście dowodził patrolami NZW, ale w chwili aresztowania „Wilka” lojalnie odbywał zasadniczą służbę wojskową i – jak można przypuszczać – w tym czasie nie miał nic wspólnego z działającą jeszcze partyzantką.

WALDEMAR BRENDA

Urodził się w 1926 r. we wsi Dudy na Kurpiach. Przed wojną uczęszczał do szkoły powszechnej i pozostawał na utrzymaniu rodziców – Franciszka i Franciszki z domu Polkowskiej. W czasie okupacji hitlerowskiej jego brat, Zygmunt, został żołnierzem Narodowych Sił Zbrojnych i niewykluczone, że to on właśnie wciągnął do organizacji młodszego o dziesięć lat Czesława. Gdy w 1943 r. w Rzeszy zaczęto odczuwać zwiększone zapotrzebowanie na tanią siłę roboczą, spośród wielu mieszkańców pogranicza do Niemiec został wywieziony także Czesław Czyż. Po zakończeniu działań wojennych, w maju 1945 r. Czyż powrócił w rodzinne strony i nawiązał kontakt z dawnymi towarzyszami broni za pośrednictwem Henryka Wiśniewskiego „Jelenia” ze wsi Pawełki gm. Jedwabne. Początkowo służył jako zwykły żołnierz w oddziale Pogotowia



Czesław Czyż DZIK (pierwszy z lewej) i Jerzy Karwowski NEWADA

Akcji Specjalnej NSZ/NZW Michała Bierzyńskiego „Sępa”. W późniejszym okresie został w oddziale dowódcą jednego z patroli. Według informacji bezpieki podlegał mu wówczas nawet do 15 „leśnych”.

Po wojnie liczne rodziny zamieszkujące na pograniczu – zniszczonym po przejściu frontu – szukały lepszych warunków życia na Mazurach. We wsi Krzywińskie pow. Pisz zamieszkała matka Czesława Czyża. Osiedlił się tam również jego brat

Zygmunt oraz być może inni krewni. Przez bliżej nieokreśloną część 1945 r. przebywał tu Czesław. Według „Charakterystyki Okręgowej krypt. <<Bałtyk>> (Narodowe Zjednoczenie Wojskowe) opracowanej w 1985 r. przez funkcjonariusza SB, kpt. K. Bogusza, „Dzik” utrzymywał w tym czasie kontakt z konspiracją NZW na Mazurach (Okręg „Bałtyk”) i w styczniu 1946 r. został dowódcą patrolu PAS w okręgu. Jeśli

rzeczywiście tak było, Czesław Czyż nie pełnił tej funkcji zbyt długo.

W kwietniu tego roku oddziały PAS w Olsztyńskim rozwiązano, a większość żołnierzy albo została urlopowana, albo przebywała w sąsiednim powiecie łomżyńskim, gdzie konspiracja była znacznie silniejsza. W ten sposób Czyż ponownie znalazł się pod komendą „Sępa”, przez którego oddział przewinęło się w owym czasie blisko 70 partyzantów! W składzie

te grupy brał udział w szeregu operacji na terenie powiatu Łomża. Ponieważ żołnierze Michała Bierzyńskiego w drugiej połowie 1946 r. podejmowali też wypadki do powiatu Pisz, gdzie wykonywali akcje na rzecz Okręgu NZW „Bałtyk”, więc wydaje się prawdopodobne, że mógł w nich uczestniczyć także „Dzik”. Zapewne przy okazji utrzymywał kontakty z zamieszkałą w Krzywińskich rodziną, a nie można wykluczyć, że również z Antonim Zduńczykiem „Ołówkiem” – dowódcą tzw. „drużyny dywersyjnej” NZW operującej na tym terenie.

W drugiej połowie 1946 r. oddział „Sępa” został podzielony na kilka patroli. Dowódcą jednego z nich został „Dzik”. W początkach września 1946 r. komendant Powiatu NZW „Łaba Północna” (Łomża), por. Dominik Żurawski „Franek”, powierzył mu funkcję dowódcy patrolu PAS przy IV batalionie NZW „Biebrza”. Czyż przejął patrol po Waldemarze Czarnieckim „Watażce”, który został awansowany na dowódcę batalionu IV. W tym okresie „Dzikowi” podlegało od 5 do 10 partyzantów.

Po ogłoszeniu amnestii w lutym 1947 r. przed leśnymi stanął problem ujawnienia. Przez dwa miesiące partyzanci wahali się z podjęciem decyzji. Ostatecznie jednak ponad 700 członków NZW z Łomżyńskiego

skorzystało z amnestii. M.in. Michał Bierzyński „Sęp”. Czyż ujawnił się wraz ze swoimi ludźmi 21 kwietnia 1947 r. Aby zniknąć z oczu miejscowej „ludowej władzy” przeniósł się do matki w Krzywińskich. We wrześniu 1948 r. został powołany do odbycia służby wojskowej w 2 Pomorskim Batalionie Miotaczy Ognia w Modlinie. Ukończył szkołę podoficerską i otrzymał stopień kaprała. Przez pewien czas dowodził drużyną. Wydaje się więc, że był żołnierzem z dyscyplinowanym. Jednak w bliżej niezna-

nych okolicznościach coś się zaczęło zmieniać. Czy ujawniła się wcześniej skrywana niesubordynacja? Czy może okoliczności zewnętrzne sprawiły, że zaczął „podpadać” przełożonym? W lecie 1949 r. podobno nie wrócił na czas z przepustki, co dostarczyło podstaw do ukarania Czesława Czyża miesięcznym pobytom w kompanii karnej. Po odbyciu kary został przeniesiony do 62 pp w Ełku. Czy był to pretekst do zaplanowanych wobec niego działań

operacyjnych? A może po prostu ciągnął się za nim „ogon” zbuntowanego żołnierza, któremu trzeba się przyjrzeć, przenieść do innej służby? Trudno powiedzieć. W każdym razie coś musiało się wydarzyć, skoro dzień po przybyciu do jednostki, 9 września 1949 r., zdezertował. Jak twierdzi Sławomir Poleszak - historyk dziejów łomżyńskiej konspiracji – Czyż w późniejszym śledztwie tłumaczył swoją ucieczkę z „ludowego” WP informacjami uzyskanymi w czasie pobytu na przepustce, że UB arestuje tych żołnierzy konspiracji, którzy ujawnili się wiosną 1947 r. Wydaje się całkiem prawdopodobne, że taka mogła być rzeczywista przyczyna opuszczenia szeregów wojska. Już w 1948 r. bezpieka przystąpiła m.in. do wyłapywania kilkunastu członków Komendy Okręgu NZW „Bałtyk”, z którymi Czesław Czyż współpracował w 1946 r. Wybierano też innych. Czy to przypadek, że kilka tygodni wcześniej zatrzymano jego dawnego żołnierza – „Wilka”?

W 1949 r. w okolicach Łomży, Grajewa, Ostrołęki istniały jeszcze oddziały NZW i konspiracji postwiniowskiej, które próbowały przetrwać w terenie kolejne oblavy sił reżimowych. Sporo też było indywidualnych uciekinierów, z różnych przyczyn unikających kontaktów z „ludową władzą”. Z takich właśnie osób Czesław Czyż – przez parę tygodni ukrywający się w okolicach Pisz - zorganizował kilkosobowy oddział zbrojny. Oddział operował głównie w powiecie Łomża. Pewnie szukał tam kontaktów z innymi dowódcami terenowymi, licząc być może na jakąś formę współpracy. Z bliżej nieznanego powodów próby te kończyły się niepowodzeniem. Może już po prostu sobie nie ufano? Aby utrzymać swoich ludzi, „Dzik” zarządzał akcje ukierunkowane głównie na zdobywanie środków do życia. Rekwirowali więc towary w sklepach spółdzielczych w Jurcu pow. Kolno, w Romanach pow. Łomża, w Mścicach pow. Grajewo. W maju 1950 r. zlikwidowali członka PZPR w gm. Przytuły podejrzanego o donoszenie do „bezpieczeństwa”. Czasami dochodziło też do potyczek z napotkanymi milicjantami.

Władze podjęły intensywne starania, aby rozbić grupę leśną Czesława Czyża. Od pierwszych dni czerwca 1950 r. oddział był rozpracowywany przez PUBP Łomża, ale również inne powiatowe struktury bezpieki uczestniczyły w tych działaniach. Próbowano do tego wykorzystać m.in. Antoniego Zduńczyka, zmuszonego do współpracy przez UB z Piszem w 1948 r. Polecono mu wyjechać w Łomżyńskie i tam szukać kontaktów z „Dzikiem”, aby pod pretekstem „łatwej” akcji ściągnąć go

w okolice Pisz, gdzie tymczasem przygotowywano zasadzkę. Zduńczyk oczywiście nawiązał łączność ze swym dawnym towarzyszem broni i opowiedział mu w szczegółach o planowanej prowokacji. Podstęp się nie powiódł...

Prawdopodobnie zamierzano przeprowadzić tę operację w pierwszych dniach lipca 1950 r. To właśnie wtedy skierowano do Pisz 84 żołnierzy WBW oraz kompanię (w sile 74 ludzi) tzw. Grupy Operacyjnej „Pisz” działającej przeciwko oddziałom Hieronima Rogińskiego „Roga”. Rzeczywisty powód ściągnięcia tych żołnierzy do Pisz poznajemy z Meldunku Operacyjnego WBW. Wynika z niego, że 5 lipca planowanej operacji nie przeprowadzono ze względu na brak danych o „bandzie <<Dzika>>”. Oczekiwano zapewne na informacje od A. Zduńczyka. Wojsko przebywało w okolicy jeszcze przez kilka dni, po czym 8 lipca część wyjechała z Pisz, zaś na miejscu pozostała kompania GO „Pisz”, ponownie skierowana do działań przeciwko „Rogowi”.

Więcej szczęścia mieli ubecy, gdy do rozpracowania „Dzika” wykorzystano agenta Waclawa Snarskiego „Księżyc” - sprawdzonego w kilku wcześniejszych operacjach. „Księżyc” zdobył zaufanie dowódcy i został przyjęty do oddziału. Zaczął namawiać „Dzika” do przerwania w okolicy Krypna (pow. Białystok). Miał tam jakoby dwóch ukrywających się kolegów, którzy mogli przejść pod komenkę „Dzika”. Czesław Czyż wyraził zgodę. Do kontaktu doszło w połowie sierpnia w rejonie wsi Piaski. Podczas spotkania nowi „partyzanci” zaczęli częstować wódką przyprawioną środkami odurzającymi. Gdy mieszanka zaczęła działać, partyzanci zostali zaatakowani przez blisko 30 funkcjonariuszy UB i KBW. Rozbudzony i obezwładniony „Dzik” krzyknął „Zdrada! UB!”, ale jego czterech koledzy i tak nie mieli szans. Zostali zastrzeleni zanim chwycili za broń.

Aresztowany Czesław Czyż stanął przed Woskowym Sądem Rejonowym w Białymstoku po prawie rocznym śledztwie. W czerwcu 1951 r. został skazany na śmierć, ale półtora miesiąca później Najwyższy Sąd Wojskowy zamienił wyrok na 15 lat pozbawienia wolności. Na wolność wyszedł dopiero w grudniu 1963 roku.

Historyk, zajmujący się postawami Polaków po 1945r., kustosz Muzeum Ziemi Piskiej w Pisz, redaktor „Znad Pisy”, współpracuje z portalem internetowym: piszkulturalnie.pl.



WALDEMAR BRENDA

Statek nihilizmu

Znakomity poeta J.M.Rymkiewicz ogłasza wiersz – apel „Do Jarosława Kaczyńskiego” (Rzeczpospolita 93/2010), w którym jeden z dystychów brzmi: „*Powiedzą, że to patos – tu trzeba patosu/ Ja tu mówię o sprawie odwiecznego losu*”. Olsztyński poeta, Kazimierz Brakoniecki, oznajmia („Gazeta Olsztyńska” 95/2010), że: „*wstrząsem był dla mnie widok ceremonii pogrzebowych, podczas których miałem wrażenie, że zginęli nie świeccy politycy, ale elita państwa wyznaniowego*”. Wstrząsnęła poetę nie katastrofa lotnicza, lecz chrześcijański obrzęd pogrzebowy ofiar. Do tej elity należeli też ci, którzy jednoznacznie sytuowali się po lewej stronie sceny politycznej, szeroko rozumianej lewicy. Oni także mieli pogrzeby katolickie i nie był to bynajmniej nakaz państwowy, lecz wola rodzin.

Dalej K. Brakoniecki mówi: „*Widma i trupy przeszkadzają żyć*”. Widma? To byli realni ludzie. Trupy? Ich droga życiowa dla wielu z nas stanowi wzór postawy obywatelskiej. Konstatuje: „*zalała nas irracjonalna fala, ale cofnęła się i nasz statek płynie dalej. Trzeba się tylko wyleczyć z choroby – chodzi o to, żeby w Polaku było więcej człowieka niż najprawdziwszego Polaka*”.

Żałobę narodową i przesłanie płynące z tragedii, że trzeba wzmocnić duchową pracę na rzecz kraju nazywa irracjonalną falą, ale skoro się cofnęła, więc jego i jemu podobnych statek płynie dalej. Tylko czy aby nie jest to statek nihilizmu?

Polak, który odczuwa więź narodową, przynajmniej do określonej (przecież innej nie ma) wspólnoty i wyraża ją w sposób naturalny dla cywilizacji zachodniej nie może być pełnym człowiekiem? Gdzie tu sprzeczność? Skąd tyle pogardy (a może i lęku) u tych wszystkich, którym polskość kojarzy się z nienormalnością.

Rymkiewicz stawia sprawę jasno: „*Ojczyzna jest w potrzebie – to znaczy łajdacy/ Znów wzięli się do swojej odwiecznej tu pracy*”.

* * *

Decyzja J. Kaczyńskiego o kandydowaniu na prezydenta RP mimo osobistego dramatu, mimo straty oddanych współpracowników i przyjaciół, jest już zwycięstwem duchowym tego polityka, i to bez względu na końcowy wynik wyborów. Trawestując nieco słowa Poety: „*on jest Miasto*”.

Krzysztof Czacharowski

Spotkanie na moście

12 maja 1926 roku Warszawa nie wyglądała normalnie. Wojsko na ulicach, dezorientacja, podniecenie mieszkańców i powszechne oczekiwanie na zwarcie. Lewobrzeżna część mostu Poniatowskiego obsadzona była przez Oficerską Szkołę Piechoty pod dowództwem mjr. Mariana Porwita i kpt. Jana Rzepeckiego. Druga strona obsadzona była przez zamachowców. Do tej pory do bezpośredniego starcia jeszcze nie doszło. Około godziny 17 doszło do spotkania prezydenta Wojciechowskiego z marszałkiem Piłsudskim. Krótka rozmowa, z której wierną relację zostawił prezydent.

ADAM KOWALCZYK

*N*adjechało auto z Piłsudskim i paru oficerami. Zbliżył się on sam do mnie, powitałem go słowami: stoję na straży honoru wojska polskiego, co widocznie wzburzyło go, gdyż uchwycił mnie za rękę i zduszonym głosem powiedział: – No, no! Tylko nie w ten sposób... Strząsnąłem jego rękę i nie dopuszczając do dyskusji: – Reprezentuję tutaj Polskę, żądam dochodzenia swych pretensji na drodze legalnej. – Dla mnie droga legalna zamknięta – wyminął mnie i skierował się do stojącego o kilka kroków za mną szeregu żołnierzy. Zrozumiałem to jako chęć buntowania żołnierzy przeciwko rządowi w mojej obecności, dlatego idąc wzdłuż szeregu do swego samochodu, zawołałem: – Żołnierze, spełnijcie swój obowiązek.”

Na tym rozmowa się zakończyła. Piłsudski podszedł do żołnierzy rządowych. Ale oddajmy głos uczestnikowi wydarzeń młodzieńkiemu porucznikowi Henrykowi Piątkowskiemu.

„Kiedy to spostrzegłem, skoczyłem między Marszałka a tych podchorążych starszego rocznika i krzyknąłem: „Kordon w poprzek mostu, nie przepuścić Pana Marszałka” Zaś kpt. Pająk zakomenderował: „Ładuj broń!” Chociaż podchorążowie mieli już broń naładowaną, trzasnęły zamkami karabinów. Wówczas Marszałek uchwycił mnie za przegub prawej ręki i rzekł: „Cóż to, dziecko, do mnie będziesz strzelał?” Patrząc Marszałkowi w oczy odpowiedziałem: „Tak jest, Panie Marszałku! Mam rozkaz Pana Prezydenta i jeszcze jeden krok a każę strzelać! (...) Widziałem twarz Marszałka tuż przy swojej. Był błądy. Oczy miał obwieszane czerwonymi obwódkami i duże zmęczenia przebijało z jego twarzy. Ale jeszcze nie zrezygnował. Zwrócił się bezpośrednio do podchorążych zapytaniem: „Dzieci, nie przepuście mnie? Kilka głosów podchorążych odezwało się: „Nie, Panie Marszałku, mamy taki rozkaz Pana Prezydenta”.

Pierwsze strzały padły z przyczółka obsadzonego przez piłsudczyków o godz. 17.41. Dramatyczne walki zakończyły się klęską wojsk rządowych, które choć w skali kraju posiadały znaczną przewagę to jednak w samej Warszawie były kilkakrotnie słabsze.

Prezydent Rzeczypospolitej i rząd zmuszeni byli ewakuować się do Wilanowa. Tam odbyła się dramatyczna narada, podczas której generałowie domagali się przeniesienia rządu do Poznania i kontynuowania stamtąd dalszej walki. Prezydent Wojciechowski i premier Witos sprzeciwili się jednak obawiając się długotrwałej wojny domowej groźnej dla integralności i niepodległości państwa. O godz. 17.30 prezydent podjął decyzję o rezygnacji z urzędu i wydał wojskom rządowym rozkaz rezygnacji z bratobójczych walk.

„Do p. Marszałka Sejmu Macieja Rataja. Wobec wytworzonej sytuacji uniemożliwiającej mi sprawowanie urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej, zgodnie ze złożoną przez mnie przysięgą, zrzekam się tego urzędu i zgodnie z art. 40 konstytucji przekazuję P. Marszałkowi Sejmu uprawnienia Prezydenta Rzeczypospolitej. Jednocześnie załączam prośbę o dymisję dotychczasowego rządu. Wilanów, 14 maja 1926.”

Spotkanie na moście Poniatowskiego, zwanym wówczas trzecim mostem, było spotkaniem dwóch przyjaciół z czasów walki o niepodległość Polski. Przyniosło ono bolesne rozczarowanie zarówno marszałkowi Piłsudskiemu przekonane- mu, że wystarczy jego słowo, a wszyscy żołnierze, jak za Napoleonem, pójdą za nim. Były to złudzenia, z których odarł go młodzieńki porucznik Piątkowski wierny przysiędze, którą złożył.

Znacznie większe rozczarowanie przeżył prezydent Wojciechowski. Dwa dni wcześniej 10 maja 1926 roku rozmawiał z Witosem na temat możliwości

zamachu stanu. W rozmowie zdecydowanie odrzucił możliwość spisku. Wspomina Witos:

„Kiedy mu nadmienilem, że moim zdaniem największe niebezpieczeństwo stanowi Piłsudski, gdyż on knuje spiski, a nawet przygotowuje zamach, oświadczył bardzo stanowczo, nie dając mi zakończyć, że to jest nieprawda. On może ręczyć, że Piłsudski nie byłby zdolny do takiej zbrodni, był zresztą osobiście u niego przed paru dniami i dał mu słowo honoru, że o żadnym zamachu nie myśli. On zaś nie ma najmniejszego powodu, by jego zapewnieniom nie wierzyć, gdyż wie, że Piłsudski danego słowa zawsze dotrzymał.”

Piłsudski objął władzę kosztem życia 379 osób, w tym 215 żołnierzy i oficerów oraz 164 cywilów. Rannych zostało 920 osób. Na tym zakończył się okres demokracji parlamentarnej w Polsce. Trudno jednoznacznie określić system sprawowania władzy w Polsce. Marszałek Piłsudski zadbał wprawdzie o legalizację władzy i zachowanie demokratycznych instytucji, ale w rzeczywistości pozostając osobą prywatną sprawował on niepodzielną władzę w państwie. 31 maja zebrało się Zgromadzenie Narodowe, by wybrać nowego prezydenta. Piłsudski spokojnie wyczekał i gdy został wybrany prezydentem oświadczył, że nie przyjmuje stanowiska ze względu na zbyt mały zakres uprawnień jaki daje mu konstytucja. Marszałek wskazał Zgromadzeniu Narodowemu Ignacego Mościckiego jako właściwą osobę na to stanowisko, co Zgromadzenie Narodowe skwapliwie zatwierdziło. Pozycja marszałka Piłsudskiego jako osoby stojącej ponad konstytucyjnymi organami władzy państwowej została w ten sposób ustalona.

Z kronikarskiego obowiązku dodać należy, że zaraz po przewrocie marszałek Piłsudski pomimo złożonych obietnic rozpoczął represje wobec oficerów opowiadających się po stronie rządowej. I tak minister spraw wojskowych, gen. Juliusz Malczewski, został przez stronników Piłsudskiego uwięziony, początkowo w drewni w Wilanowie, gdzie został pobity przez grupę oficerów, był głodzony i poniżany. Następnie został przeniesiony do Wojskowego Więzienia Śledczego nr III na Antokolu w Wilnie. Razem z nim więzieni tam byli generałowie: Tadeusz Rozwadowski, Włodzimierz Zagórski i Bolesław Jaźwiński. Gen. Włodzimierz Zagórski oficjalnie został wypuszczony z więzienia, ale nigdzie nie doszedł. Po prostu znikł i do dzisiaj nie wiadomo, co się z nim stało. Gen. Tadeusz Rozwadow-

ski po wyjściu z więzienia czuł się coraz gorzej, zmarł 18 października 1928 roku. Po konsylium pułkownik dr Bolesław Szarecki stwierdził, że otrucie jest pewne. Władze zabroniły jednak dokonania sekcji zwłok. Gen. Bolesław Jaźwiński po uwięzieniu bez postawienia zarzutów, uwolniony, ciężko chorował, został sparaliżowany. Zmarł w Warszawie w 1935 r. Gen. Jan Hempel został zastrzelony na polowaniu, a gen. Władysław Sikorski pozbawiony przydziału pozostał w zawieszaniu aż do 1939 roku.

Co Polska otrzymała w zamian? Odpowiedź nie jest jednoznaczna. Z jednej strony powstrzymana została degrengolada systemu rządów, która nie wiadomo czym by się skończyła. Niewykluczone, że po władzę mógłby sięgnąć inny chętny. Z drugiej strony władza, którą uzyskał Piłsudski została wykorzystana głównie do usadzenia przy korycie legionowej sitwy.

Sam marszałek Piłsudski okazał się być człowiekiem obdarzonym olbrzymią intuicją polityczną. Jak nikt inny potrafił wyczuwać kierunki zmian i wykazywał się zdrowym rozsądkiem w określaniu kierunków i czasu zagrożeń. Oceniał, że pokój w Europie skończy się wraz z końcem lat trzydziestych. Wielokrotnie powtarzał, że do przyszłej wojny Polska musi przystąpić ostatnia. Niestety, w dziedzinie wojskowej był rzadkim przykładem kompletnego ignoranta. W dodatku ignoranta, który w najmniejszym nawet stopniu nie uświadamia sobie stopnia swojej niewiedzy. Mało tego, uważał się za fachowca zdolnego zarówno do dowodzenia jak i organizowania armii w czasie pokoju. Po zamachu majowym pozbył się z wojska praktycznie wszystkich wyższych oficerów sztabowych, fachowców z doświadczeniem jeszcze z armii zaborczych i doprowadził do regresu strukturalnego i szkoleniowego armii nawet w stosunku do wojny w 1920 r. Osobiście zablokował modernizację sił zbrojnych, zabronił nawet wspominać o motoryzacji armii i nowoczesnych rodzajach broni. Po jego śmierci w 1935 roku podjęto przyspieszone próby unowocześnienia Wojska Polskiego, ale czasu już na to zabrakło. Tym bardziej, że jego następcy zapomnieli o politycznych naukach marszałka i dopuścili do tego, że Polska do wojny weszła jako pierwsza.

Publicysta, felietonista, w latach dziewięćdziesiątych wydawca tygodnika „Gazeta Warmińska”, członek Stowarzyszenia „Święta Warmia”



ADAM KOWALCZYK

Czy to już koniec sprawy TW Kamila

Sąd Apelacyjny w Białymstoku orzekł, że były dziekan wydziału teologii, ks. prof. Cyprian Rogowski, złożył niezgodne z prawdą oświadczenie lustracyjne, tym samym potwierdzając wyrok Sądu Okręgowego w Olsztynie. I na tym sprawa powinna się skończyć. Ks. Rogowski wciąż jednak twierdzi, że kłamie. Dlatego apeluje do ks. Rogowskiego, by dla dobra Kościoła świętego wycofał się z publicznej działalności.

ŁUKASZ ADAMSKI

Nie ma żadnych materialnych dowodów na to, że współpracowałem z SB. Mimo to sąd orzekł winę. Nie zostawię tak tego. Wniozę o kasację wyroku do Sądu Najwyższego” – mówi ks. prof. Cyprian Rogowski „Gazecie Wyborczej”. Niestety ks. Rogowski, mówiąc, że Paweł Warot napisał nieprawdę w swoim tekście sprzed dwóch lat, najzwyczajniej sam mija się z prawdą. Z przykrością i zażenowaniem obserwuję coraz bardziej historyczne reakcje ks. Rogowskiego na finał swojej batalii w sądzie.

„To haniebne, by mnie, człowieka, który jest patriotą, oskarżać o takie rzeczy – oburzał się dziekan w rozmowie z „Gazetą Polską”. – Dziwię się, że to, co pan Warot wypisał o mnie w tym szmatławcu (Debacie- przyp. Ł.A.), bierze się w ogóle na poważnie. Jak można wydawać na kogoś wyrok na podstawie esbeckich papierów?! Otóż można. I każdy poważny historyk uzna, że posiłkowanie się takimi dokumentami jest niezbędne w jego pracy. Czyż badacze III Rzeszy nie wydają wyroków na podstawie dokumentacji nazistów? Czyż historia nie wydaje wyroków na podstawie dokumentacji zgromadzonej przez reżim Napoleona Bonaparte? Argument przedstawiony przez byłego dziekana teologii jest niestety na poziomie Michnikowych cyngli, którzy od 20 lat wpajają Polakom dyrdymały na temat służb PRL-u.

„Nie mam dziś innego wyjścia, muszę bronić swoich praw w sądzie” – straszyl TW Kamil tuż po publikacji w naszym piśmie. No i dwie instancje wydały wyrok, który jest precedensem w naszym kraju. Do tej pory mieliśmy do czynienia z wieloma absurdalnymi wyrokami, które broniły byłych konfidentów SB. Oczywiście, niektórzy obrońcy ks. Rogowskiego sugerują, że wyrok ten jest wynikiem antyklerykalizmu laickich sądów. Myślę, że należy spuścić kurtynę milczenia nad takim absurdalnym rozumowaniem. Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski komentując wyrok w sprawie TW Kamila, stwierdził,

że „Ksiądz jest zawsze łagodniej traktowany przez sądy w Polsce” i dodał, że „To nie dziennikarze i historycy mają oczyszczać Kościół, który ma tak duże możliwości, że może to zrobić sam”.

Zresztą równie absurdalne tezy, jak te wypowiadane przez obrońców ks. Rogowskiego, pojawiają się w ustach duchownych posądzonych o kolaborację z komunistami nie pierwszy raz. Niestety ks. prof. Rogowski oskarżał o spisek nawet samego rektora UWM prof. Ryszarda Góreckiego. W świetle jego postępowania nie należy zapominać, że sam zdecydował się utajnić swój proces lustracyjny i społeczeństwo nie ma szans dowiedzieć się jakimi dowodami obciążyli go zeznający świadkowie. Można postawić pytanie: czego bał się były dziekan wydziału teologii, że zdecydował się na taki krok?

Gdy pisaliśmy w „Gazecie Polskiej” z redaktorem Grzegorzem Wierchołowskim tekst o współpracy ks. Rogowskiego z SB mieliśmy na sercu dobro naszego Kościoła. Nie mogliśmy jako dziennikarze dopuścić, by tajny współpracownik komunistycznych służb specjalnych wręczał kard. Dziwiszowi doktorat honoris causa na wydziale teologii. Dobro tego wydziału (jako jego absolwentowi) leży mi na sercu i krzywdzące były dla mnie opinie kilku księży, którzy sugerowali, że nasz tekst miał na celu zaszkodzenie kard. Dziwiszowi. Jednak i takie żalosne sugestie się pojawiały w ustach ludzi Kościoła.

Ks. Cyprian Rogowski był recenzentem mojej pracy magisterskiej i zawsze go bardzo szanowałem i lubiłem. Tekst Pawła Warota był szokiem również dla mnie. Jednak wierzyłem głęboko, że były dziekan wydziału teologii w sposób racjonalny i godny wyjaśni ciemne strony swojej przeszłości. Dlatego zupełnie nie rozumiałem dzisiejszego uporu ks. Rogowskiego w trwaniu w kłamstwie. Szczególnie jako osoba duchowna, która kształci młodzież, powinien dać świadectwo słowom Jana Pawła II „Tylko prawda nas wyzwoli”.

Czy nie może ksiądz pójść za przykładem ks. prof. Czajkowskiego, który wycofał się z życia publicznego po ujawnieniu jego haniebnego przeszłości? Czy dla dobra Kościoła świętego nie może się ksiądz po prostu przyznać do błędów młodości? Czy uważa ksiądz, że wyzywanie naszego pisma od szmatławców, robienie awantur historykowi pracującemu w państwowej instytucji, która ma na celu rozliczenie zbrodni komunizmu, czy obwinianie za

swoje grzechy wszystkich oprócz siebie służy „dziełu Chrystusa”?

Mam nadzieję, że wyrok sądowy potwierdzający, że ks. Cyprian Rogowski skłamał w swoim oświadczeniu lustracyjnym zakończy ten spór i spowoduje, że były dziekan teologii uda się na zasłużoną emeryturę, bowiem władze UWM już zapowiedziały, że jego obecna funkcja, którą pełni na wydziale teologii nie podlega lustracji. Niestety władze naszej uczelni jasno

pokazują, że bycie konfidentem komunistycznych służb, również kiedy jest to potwierdzone przez dwie instancje sądowe III RP, nie jest niczym nagannym i złym.

Apeluję więc do ks. prof. Cypriana Rogowskiego, by honorowo odszedł z życia uczelni i nie wychowywał następnych pokoleń teologów. Dzisiejsza Polska jest pełna karłów moralnych, którzy pełnią ważne funkcje publiczne. Ksiądz naprawdę nie musi być jednym z nich. **Ł.A.**



LISTY DO REDAKCJI

W kwietniowym numerze „Debaty” złośliwy chochlik zamienił zdjęcie śp. ppłk. Czesława Cywińskiego, Prezesa Światowego Związku Żołnierzy AK, na zdjęcie mjr. Romana Dekarczyka, również kombatantha, byłego żołnierza AK. Serdecznie przepraszamy rodzinę tragicznie zmarłego Czesława Cywińskiego, a także Pana majora Romana Dekarczyka. Zamieszczamy zdjęcie ppłk. C. Cywińskiego i list, jaki otrzymaliśmy od Pana majora Dekarczyka zamieszkałego w Gdańsku.



Śp. ppłk. Czesław Cywiński

Jestem stałym czytelnikiem „Debaty”. Pismo poczytne, gdyż porusza nie tylko sprawy Mazur i Olsztyna, ale bardzo ważne zagadnienia patriotyczne i polityczne, którymi inne czasopisma się nie zajmują.

Kwietniowy numer zawiera wspomnienia osób tragedii katyńsko-smoleńskiej. Wszystkie osoby wymienione (9 osób) były mi osobiście znane (oprócz p. Tomasza Merty). Pan Krupski jeszcze 12 grudnia 2009 r. dekorował mnie medalem „Pro Memoria”. Na str. 8 „Debaty” jest również pośmiertne wspomnienie ppłk. Czesława Cywińskiego, mojego zwierzchnika, gdyż jestem b. żołnierzem Armii Krajowej inspektorat Grudziądz pseud. „Bładziak”. Jestem zrzeszony w kole AK w Gdańsku (filia p. gen. Zawackiej z Torunia). Na pogrzebie ppłk. Cywińskiego w dniu 27 kwietnia miałem być obecny i reprezentować nasze środowisko, lecz nagle choroba uniemożliwiła wyjazd (...). To wszystko piszę dlatego, że przy wspomnieniach o Pułkowniku jest moje zdjęcie. Proszę to w następnym numerze „Debaty” sprostować.

Z poważaniem, **mjr Roman Dekarczyk**

Zwiastun

na wiosnę stary repertuar
wiatr kruchy jak pajęczyna
tkanina ptasiego śpiewu
którą okładamy zmęczone nerwy
uderzenie poranka mocne jak światło Południa
nawet sen pierwszy lepszy z brzegu
równy przestrzeni obłoku – stary repertuar
grany na nowo że chciałoby się zawołać: alleluja
tylko ten smoleński szron duszy



Olsztyński poeta. Laureat Konkursu Poetyckiego im. ks. Józefa Baki (2001). Wiersze publikuje w kwartalniku „Fronda” i dwumiesięczniku „Arcana”



KRZYSZTOF CZACHAROWSKI

Miejsce dobre na ratusz cz.3

Podczas robót ziemnych wokół olsztyńskiego ratusza odnajdywane są wciąż ludzkie kości. Teren przypomina nam o swojej historii. Przez kilkaset lat istniał tu cmentarz, na którym wznosił się kościół św. Krzyża – jeden z trzech kościołów dawnego Olsztyna. Stał on w centrum najstarszej części nekropolii, przed frontem obecnego ratusza. Mamy obecnie niepowtarzalną szansę, by odnaleźć pozostałości świątyni, dowiedzieć się czegoś o jej początkach oraz początkach cmentarza. Zbliża się właśnie kolejna w dziejach przebudowa placu.

RAFAŁ BĘTKOWSKI

Kres cmentarnej enklawy

Na początku XX stulecia coraz bardziej nagłą potrzebą stała się budowa nowej siedziby władz miasta. Stojąca na Rynku „leciwa, przyciasna i zgoła małomiasteczkowa rezydencja rady miejskiej, zarządu i nadburmistrza” nie odpowiadała już nowej roli, znaczeniu i ambicjom Olsztyna – ośrodka przeszło 25-tysięcznego, siedziby wydzielonego powiatu miejskiego (od 1903 r.) oraz nowo utworzonego obwodu rejencyjnego (1905)¹. Zwrócono wtedy uwagę na teren cmentarza świętokrzyskiego – enklawę wolnej przestrzeni położoną w samym centrum, na granicy starego i nowego Olsztyna, przy skrzyżowaniu najważniejszych arterii komunikacyjnych.

Na starym cmentarzu znajdowało się wiele dobrze utrzymanych grobów, pomysł więc nie wszystkim się spodobał. Niezadowolone potęgował pradawny obyczaj, wedle którego teren cmentarza był przestrzenią świętą, nienaruszalną. Nikt ziemią cmentarną nie handlował. Prawo dopuszczało co prawda możliwość likwidacji nekropolii, jeśli od jej zamknięcia, a więc od ostatniego pochówku, upłynęło 40 lat, przepisy owe stosowano jednak nieczęsto – głównie przy porządkowaniu terenu wokół kościołów². Nawet dziś niektórzy z badaczy prawa kanonicznego wyrażają opinię, wedle której teren cmentarza nie przestaje być miejscem świętym, gdy usunie z niego ostatnie groby³.

Cena, jaką zaofierowano, była na tyle atrakcyjna, że władze kościelne nie czyniły przeszkód w zakupie gruntu. Miasto wykupiło od gminy katolickiej teren cmentarza w 1909 r. przeznaczając na ten cel 70 tys. marek⁴. Decyzja o budowie nowego ratusza zapadła ostatecznie w 1911 r. Pod koniec tego roku zaczęto przygotowywać teren pod inwestycję, niwelując starsze nagrob-

ki. „Cmentarz zwinięty dla jakichś powodów ma być nietykalny przez 40 lat, potem pomniki znakomitszych ludzi mogą być przeniesione na nowy cmentarz”⁵. Tak też w Olsztynie postąpiono. Część pochówków rodziny zmarłych przeniosły na cmentarz św. Jakuba, ekshumowano również groby znajdujące się w obrębie wykopów planowanej budowy. Reszta mogił pozostała. „Bezimienne groby, położone na obrzeżach cmentarza, nie były otwierane, a znajdujące się w nich szczątki ludzkie tkwią pod przyratuszowymi skwerami, chodnikami i jezdniami do dziś”⁶. W spokoju pozostawiono ewangelicką część nekropolii.

Rabaty i armaty

Latem 1912 r. rozpoczęła się wycinka drzew i prace ziemne. W rogu głębokiego wykopu, dokładnie tam, gdzie później stanęła ratuszowa wieża, uroczyście wmurowano kamień węgielny. Do wybuchu pierwszej wojny światowej udało się zamknąć stan surowy, zaś wiosną 1915 budowę ukończono. Choć w lipcu 1916 r. rozpoczęto użytkowanie gmachu, prace wykończeniowe przeciągnęły się do pierwszych lat powojennych. Dość długo przy elewacji ratusza widać było kępę starych drzew. Wycięto je porządkując teren przed budynkiem. Pozostawiono tu tylko dwa stare drzewa, pamiętające czasy burmistrza Rarkowskiego. Ozdabiały one ratuszowy skwer, założony na miejscu najstarszej części dawnej nekropolii. Założenie miało narys ujętego w granitowe murki owalu, rozdzielonego pośrodku kamiennymi schodami. Biegły z ulicy Zeppelina wprost ku głównemu wejściu. Pod reprezentacyjne schody zajeżdżało się również z dzisiejszej ul. 1 Maja (podjazd przechodził dalej w ulicę Koronną, obecną ul. Wyzwolenia). Pod koniec wojny na zieleńcach przed gmachem ustawiono

zdobyczne armaty, potem zaś „dwa stare rosyjskie 6-calowe moździerze”, które stały tu do początku lat 20.⁷ Stare drzewa zastąpiły w tym okresie nowe nasadzenia.

Ratuszowe schody 28. sierpnia 1915 r. były widownią obchodów pierwszej rocznicy odbicia miasta z rąk rosyjskich. Także i potem plac często zapelniał się miał tłumem. Do tradycji weszły urządzane na schodach uroczyste powitania przybywających do miasta ważnych osobistości. Kilka razy zgromadzonych pod ratuszem mieszkańców Olsztyna pozdrawiał stąd „zastępczy cesarz” – sędziwy feldmarszałek von Hindenburg, uważany powszechnie za „oswobodziciela Prus Wschodnich”, postać gwarantującą stabilność polityczną państwa.

Swastyka na wieży

Na ratuszowej wieży powiewała nie tylko czarno-biało-czerwona flaga cesarstwa. Przez jeden dzień zwiślała z niej również flaga carskiej Rosji, w dnach olsztyńskiej „rewolucji” – czerwony sztandar. Szóstego marca 1933 r. po raz pierwszy wywieszono z wieży flagi hitlerowskie. Mylili się ci, którym zdawało się, że będzie to kolejny, chwilowy tylko epizod w historii miasta. Wkrótce narodowo-socjalistyczne kierownictwo dźwignęło w ratuszu pełnię władzy. Fakt ten zamianować można było w bardziej dobitny sposób. Położony przed gmachem główny plac miasta nie posiadał dotąd odrębnej nazwy. W maju 1933 r. nazwano go Adolf-Hitler-Platz, zaś położone wokół domy otrzymały nową numerację.

W połowie lat 30. ratusz został rozbudowany o nowe, niskie skrzydło, wzniesione od strony ul. Wyzwolenia. Użytkownikiem dobudówki była Miejska i Powiatowa Kasa Oszczędnościowa (dziś Urząd Stanu Cywilnego)⁸. Ta część ratusza powstała na terenie ewangelickiej części cmentarza świętokrzyskiego. Chowano tu nieboszczyków nieco dłużej niż w części katolickiej, dłuższy też okres musiał upłynąć, nim groby mogły ulec likwidacji. Jeszcze w latach 80. XIX w., a może i później, dokonywano tutaj pojedynczych pochówków w zarezerwowanych kwadratach rodzinnych. W roku 1888 i na początku 1889 wieczny spoczynek znalazło tu 9 osób m. in. kupiec Ernst v. Zabienski, wdowa Stuertz oraz żony landratów Giseviusa i Martensa. Z wymiany pism urzędowych w r. 1889 wynika, że całkowite zamknięcie starego cmentarza ewangelickiego przewidywane było za „11 wzgl. 13 lat”⁹. Zgodnie z przepisami inwestycje na tym terenie mogły więc nastąpić dopiero około roku 1940!

Żydowska kamienica

Około 1888 r. u zbiegu Górnego Przedmieścia i ul. Koronnej, a więc dzisiejszych ulic 11 Listopada i Wyzwolenia, stała duża, czynszowa kamienica kupca żydowskiego Rehfelda. Miała ona narys trapezu i wewnętrzny dziedziniec-studnię. Elewacje dwupiętrowego budynku zwrócone były w stronę zbiegających się w tym miejscu ulic oraz cmentarza – późniejszego placu przed ratuszem. Budynek miał początkowo adres Zeppelin-Str. 23, potem Adolf-Hitler-Platz 4. W połowie lat 30. należał do wdowy Natalii Rehfeld zamieszkałej we Wrocławiu. Znajdowały się tu czynszowe mieszkania oraz lokale handlowe. Dom stał się solą w oku hitlerowskich władz Olsztyna. Nie dość, że był własnością żydowską, to jeszcze wznosił się w tak newralgicznym miejscu, tuż pod nosem władz miasta. Właścicielka nie musiała godzić się na sprzedaż nieruchomości. Dopiero zmiana prawodawstwa, która nastąpiła w 1938 r., rozwiązała hitlerowcom ręce. Kamienica została przez miasto „skonfiskowana”. Przejęcie na zasadzie przymusowego wykupu nastąpiło na bazie rozporządzenia o wykorzystaniu mienia żydowskiego (Verordnung über Einsatz des jüdischen Vermögens) z 3. grudnia 1938 r. Należność – 85 tys. Reichsmarek – wpłacona miała zostać przez miasto na zablokowane konto bankowe, z którego korzystać można było tylko za zezwoleniem najwyższych władz rejencyjnych (1940). Uzasadniając wywłaszczenie

zwracano uwagę na plany poszerzenia i upiększenia placu, co wiązało się z koniecznością rozbioru budynku¹⁰. Wykonanie wyroku odsunięto na razie na czasy powojenne. Któż mógł przypuszczać, że Olsztyn miał będzie wtedy nowych właścicieli. Niestety, domu fakt ten nie uratował.

Tutaj znów groby

Nowi mieszkańcy Olsztyna Adolf-Hitler-Platz nazwali placem Wolności. Pierwszych osadników, przybywających tu wiosną 1945 r. wokół ratusza witały prawie same zgliszcza. Nienaruszona stała wciąż kamienica Bernotha (wylot 1 Maja) oraz wielka kamienica Hollanda, w której prędko zainstalowały się władze PPS oraz ekspozytura Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”. Stały także mury wypalanej kamienicy wdowy Rehfeld. Widać je na fotografiach dokumentujących ingres ks. infułata dr Teodora Bensch, administratora apostolskiego diecezji warmińskiej, który odbył się 14. października 1945 r. Na ratuszowym skwerze znajdowały się jeszcze wtedy świeżo usypane mogiły. Pochowani tutaj zostali podobno dwaj polscy i dwaj sowieccy oficerowie. Taką informację podała przynajmniej prasa przy okazji uroczystej ekshumacji grobów, która nastąpiła 13. kwietnia 1946 r.¹¹

Czynności ekshumacyjne były niezbędne, na koniec kwietnia planowano bowiem urządzić pod ratuszem wielką imprezę z okazji otwarcia tramwajów. Jeszcze w 1945 r plac przeistoczył się w pierwsze

olsztyńskie forum. To w tym właśnie miejscu, wśród ruin i grobów, wiosną ostatniego roku wojny ponownie kielkować zaczęło życie. Zwołani na plac, nieliczni jeszcze, nowi mieszkańcy miasta 9. maja 1945 r. dowiedzieli się o kapitulacji hitlerowskich Niemiec¹². Tutaj, pod gołym niebem, na chodniku, rozstawiano pierwsze w Olsztynie prywatne stoiska handlowe, tu zaczęto urządzać zgromadzenia, zbiórki i manifestacje, tu pokazywano filmy – m.in. dokument z procesu norymberskiego. Dopiero potem prawie wszystkie te funkcje przejął nowo urządzony „Karolek”.

Hierarchia potrzeb

Wiosną 1946 r. Zarząd Miasta podjął decyzję o usunięciu pozostałości spalonych domów u wylotu ul. Pieniężnego oraz 11 Listopada (nazywanej wówczas 22. Lipca) i poszerzeniu placu Wolności. Prasa porównywała go do paryskiego „Place d’Étoile” – Placu Gwiazdy, tu bowiem zbiegały się wszystkie ścieżki Olsztyna¹³. Odkąd centralny plac zaczął pełnić funkcję olsztyńskiego forum, palącą potrzebą stało się jego uporządkowanie i przy okazji poszerzenie, tak by w przyszłości był on w stanie pomieścić większą liczbę ludzi. Wedle projektu sporządzonego w pierwszych miesiącach 1946 r. nie zamierzano początkowo zabudowywać parcel po wyburzonych kamienicach. Na ich miejscu, przy odsłoniętych ślepych ścianach sąsiednich domów, planowano urządzić jedynie podcienia z arkadami¹⁴.



Allenstein, O. - Pr. - Adolf-Hitler-Platz

Widok na skwer przed Nowym Ratuszem ok. 1935 r. wg pocztówki ze zbioru autora. W głębi stara kamienica Bernotha na rogu ul. 1 Maja (wówczas: Adolf-Hitler-Platz 6) i budynek kina „Capitol” (A.-H.-Pl. 7), po prawej stojąca na rogu dzisiejszej ul. Pieniężnego kamienica Wagnera (A.-H.-Pl. 8), z odnowioną w l. 1933–34 fasadą. Na rogu winiarnia Lubowskiego.

Wzdłuż ulicy 11 Listopada ułożone zostały szyny. Gruzu wywożono „wagonetkami” na teren Targu Rybnego, cegłę starano się odzyskiwać¹⁵. Choć od marca akcja wyburzeń uległa nasileniu, ruiny znikają opornie. Rozbiórki wypalonych kamienic dawnej „Apteki Pod Koroną” na rogu ulic 11 Listopada i Pieniężnego rozpoczęto już w styczniu 1946 r. Gruzowisko w tym miejscu widać wciąż na fotografiach z uruchomienia tramwajów w dniu 30. kwietnia 1946 r.¹⁶ Do końca roku nie udało się go zlikwidować. Resztki ścian i gruzu usuwano tu jeszcze przez cały rok 1947.

Mniej kłopotu sprawiły ruiny kamienicy wdowy Rehfeld. Znikły one ostatecznie w połowie 1947 r. Latem otynkowano ślepą ścianę sąsiedniej kamienicy i przystąpiono do brukowania jezdni oraz parkingu, założonych na miejscu usuniętego budynku. Prace przeprowadzone zostały nadzwyczaj sprawnie. Całość już we wrześniu była gotowa. Wtedy też pra-

Karolek przejmując pałeczkę

Pierwsze stoiska handlowe w powojennym Olsztynie ustawiane były na placu Wolności. Potem owo samorzutnie powstałe targowisko przeniesiono na plac Nowotki, dzisiejszy pl. Konsulatu Polskiego. Ponieważ porządek w tym miejscu pozostawiał wiele do życzenia (a obok znajdowała się siedziba PPR), pod koniec marca 1946 r. Rada Miejska postanowiła eksmitować handel na „plac koło zamku”, tj. dawny Targ Rybny. Pomysł nie był najszczęśliwszy, teren bowiem na urządzenie placu targowego nie bardzo się wtedy nadawał. Jeszcze w latach 1939–40 Niemcy zlikwidowali istniejącą tu zabudowę, planując przeprowadzenie tędy obwodnicy Starego Miasta¹⁸. Na tym prowadzone wówczas prace utknęły. Miejsce nawet prowizorycznie nie zostało przygotowane na przyjęcie handlujących. „Nagi teren, pokryty dołami i rowami został swoiście

zamku dalej służył więc za wysypisko. Po raz pierwszy o nowych koncepcjach jego zagospodarowania prasa wspomniała pod koniec lipca 1947 r. Pisano wtedy, że projekt opracowuje Olsztyński Oddział Tow. Teatru i Muzyki Ludowej. Plac obok Wysokiej Bramy przystosowany miał zostać do organizowania na nim „rozmaitych manifestacji, obchodów i widowisk, o charakterze masowym”²¹. Urządzono go rok później, wyburzając ruiny domów stojących wzdłuż zachodniej pierzei ul. Staromiejskiej. Nowe forum otrzymało nazwę placu gen. Karola Świerczewskiego. W roku 1948 wiec 1-majowy odbył się już tutaj. „Karolek” przejmował pałeczkę.

Poszerzyć i odsłonić

Plac Świerczewskiego mógł mieć wkrótce konkurenta. Do miana reprezentacyjnego forum pretendował również nowy plac Armii Czerwonej, którego plany właśnie powstawały. W marcu 1949 rozpoczęła się intensywne rozbiórka ruin wzdłuż alei Zwycięstwa, dzisiejszej Piłsudskiego. Rozbierano nie tylko grożące zawaleniem mury wypalonych domów południowej strony ulicy. Zamierzano zlikwidować nawet budynki zamieszkałe, m. in. parterowe pawilony sklepowe, które po wojnie, w sąsiedztwie pl. Wolności, wyrósł z ruin na rogu ul. Pieniężnego, a nawet dom stojący vis-a-vis więzienia, mieszczący wcześniej biura fabryki zapalek. Prace zmierzały do poszerzenia al. Zwycięstwa, która w zamyśle urbanistów stać się miała główną, reprezentacyjną arterią miasta. „W związku z budową nowego, monumentalnego gmachu Urzędu Wojewódzkiego, a więc i z częściowym przesunięciem ośrodka dyspozycyjnego Olsztyna sprzed ratusza na plac, który nazwany będzie placem Armii Czerwonej, poszerzenie ulicy jest słuszne i konieczne” pisało „Życie Olsztyńskie”²². Na razie poszerzoną część planowano jedynie zniwelować i obsiać trawą. W pracowniach projektowych rysowano tymczasem wizje socrealistycznej zabudowy, która powstać miała przy nowej osi: wielkiego hotelu miejskiego, gmachów sądu, DOPiT oraz banku. Plany skorygowała rzeczywistość. Projektowane na przełomie lat 40. i 50. budowle nigdy tu nie powstały. Nie urządzono też podcieni przy ratuszowym placu – miejsce to nie odgrywało już dawnej roli. Pod koniec kolejnej dekady zabudowywać zaczęto obie strony ujścia ul. Pieniężnego. Dokończono także poszerzenie głównej arterii. Znikło wtedy kino „Odrodzenie” – dawny „Capitol”, ostatnia pozostałość po hotelu „Deutsches Haus”. W lutym 1972 wyburzono starą kamienicę Bernotha, stojącą u wylotu ulicy



Widok na rejon dzisiejszego pl. Jana Pawła II w 1957 r. wg pocztówki ze zbioru autora. Zabudowa przy wylocie ul. Pieniężnego została już wyburzona. Przy końcu ul. 1 Maja stoi wciąż stara kamienica Bernotha oraz budynek dawnego hotelu „Deutsches Haus” (1880), w którym mieściło się kino „Odrodzenie” (1949–66). Obiekty te uległy wyburzeniu dopiero w latach 1967–72

sa odkryła źródło owego błyskotliwego sukcesu: „Przyczyna szybkiego doprowadzenia pl. Wolności do reprezentacyjnego wyglądu, przy obecnym braku materiałów, została wyjaśniona. Świadczy o tym zerwana nawierzchnia dróg wiodących do b. zajezdni trolejbusowej przy al. Wojska Polskiego, zerwane krawężniki i płyty cementowe oraz napoczęta już nawierzchnia drogi prowadzącej od Alei P.W. do Stadionu. No cóż – hierarchia potrzeb”¹⁷.

splantowany: zwieziono gruz ze zburzonych domów, wyrównano nim doły i pozostawiono w stanie surowym, nie troszcząc się o nogi mieszkańców” – pisały „Wiadomości Mazurskie” – „Na dobitkę wreszcie przeoczono fakt, że w górnej części placu odbywa się zrzucanie z wagoników kolejki wąskotorowej gruzu z wysokości dwumetrowej, co powoduje wytwarzanie się pyłu w olbrzymich ilościach”¹⁹. Raban wszczęty przez dziennikarzy sprawił, że z decyzji szybko się wycofano²⁰. Plac koło

1 Maja, odsłaniając tym samym widok na placyk przed nowo wzniesionym „kaempikiem” oraz perspektywę alei Zwycięstwa. Zanim to nastąpiło dokonano gruntownych zmian w obrębie samego skweru przed ratuszem.

Plac po nowemu (1971)

Skwer przed gmachem władz miejskich nowym mieszkańcom Olsztyna przypadł do gustu. Felietonista „JG”, który w serii artykułów opublikowanych w 1946 r. w „Życiu Olsztyńskim” bardzo krytycznie odniósł się do pozostawionego przez Niemców dziedzictwa urbanistycznego, placyk przed ratuszem uznał za „bardzo zresztą ładny i dobrze pomyślany, o którego usunięciu nie ma mowy”²³. Założenie miało wyglądać, jaki nadano mu podczas pierwszej wojny światowej. Na modernizację zdecydowano się dopiero pod koniec lat 60. Rozpoczęto ją wycinając w październiku 1969 r. rosnący przed gmachem rozłożysty jesion. Planowano na nowo uformować teren, dzięki czemu zniknąć miało w tym miejscu „mało estetyczne wzniesienie”²⁴. W marcu 1971 r. brygady Miejskiego Zarządu Dróg i Mostów przystąpiły do urządzania przy ul. Wyzwolenia parkingu. Wykorzystano pusty teren po stojących tu niegdyś, spalonych w 1945 r., kamienicach. Dojazd prowadzić miał ulicą Skłodowskiej-Curie²⁵. W czerwcu nadeszła kolej na plac. Projekt autorstwa inż. arch. Jacka Osadowskiego z Miejskiej Pracowni Urbanistycznej zakładał częściową niwelację terenu, budowę szerokich schodów oraz sześciu kaseto-

nów na kwiaty. W jednym z nich znalazło się miejsce dla podświetlanej fontanny. Dodatkowo stanąć miały murki oporowe i kąciki do wypoczynku. Tarasy planowano wyłożyć płytkami. Mimo, że trawniki zlikwidowano, dużą rolę nadal odgrywać miała zieleń. Ostatnie rosnące przed ratuszem drzewo postanowiono zachować²⁶. Ekipy budowlane na „lipcowe święto” niestety nie zdążyły – dopiero w sierpniu obsadzono kasetony kwiatami. Opinie o nowym obliczu centralnego placu miasta były podzielone. Większość olsztyńian dostrzegała jego korzystną przemianę, byli jednak i tacy którzy potraktowali całą inwestycję jako zbyt dużą rozrzutność, dowodząc, że lepiej było zbudować przed ratuszem parkingi²⁷.

Kamień nagrobny

Koniec XX wieku zafundował nam nową nazwę placu, początek wieku XXI – ostatnią zmianę architektoniczną w tym rejonie. W czerwcu 1998 r. uchwałą Rady Miasta plac Wolności stał się placem Jana Pawła II. W roku 2002 na fragmencie parceli dawnej kamienicy wdowy Rehfeld powstał budynek przeznaczony na sklepy i biura (projekt: Jacewicz i Sosnowski). Dom nazwany „Czarna Perła”, przez złośliwców wnet ochrzczony został mianem „czarna trumna” lub „sarkofag”. Kubiczna forma strzela ponad sąsiednią, starą zabudowę, wyłamując się z jej szeregu. Nie rzuca się to może w oczy od strony placu, razi jednak, gdy w kierunku ratusza patrzymy od strony ul. 11 Listopada. Elewacja wykończona została czarnym, polerowanym kamieniem.

Kamień wydaje się zdobywać dominację na placu. Świadczy o tym wizja zagospodarowania tego miejsca zaproponowana ostatnio przez architekta Andrzeja Dezora. Urządzone na początku lat 70. tarasy przed ratuszem są już rzeczywiście mocno zniszczone i wymagają naprawy. Nowy projekt zakłada ich likwidację i urządzenie schodów, nawiązujących do tych, które prowadzą do urzędu. Nawierzchnia placu ma zostać wyłożona granitowymi płytami i kostką brukową. Zostaną oszczędzone drzewa, powrócić ma oczko wodne, całość zaś uzupełniają powinny kamienne ławy i słupy świetlne²⁸.

Trudno oceniać koncepcję dopóty, dopóki nie doczeka się ona realizacji. Przebudowa placu daje niepowtarzalną okazję, by lepiej poznać przeszłość miejsca, którego historia sięga pierwszych wieków istnienia miasta. Dla archeologów jest to być może ostatnia szansa, aby odnaleźć jeszcze resztki stojącego tu niegdyś kościoła św. Krzyża. Jeśli na badania nas nie stać, położmy chociaż w tym miejscu kamień, który informował będzie o prawdziwej historii placu, kamień nagrobny. Winni to jesteśmy naszym poprzednikom, których kości wciąż tu wszędzie spoczywają.

Rafał Bętkowski
r.betkowski@wp.pl
autor książki „Olsztyn,
jakiego nie znacie. Obraz
miasta na dawnej pocztówce”,
z zamiłowania historyk,
publicysta, kolekcjoner
i społecznik, wiceprezes Stowarzyszenia „Święta Warmia”



RAFAŁ BĘTKOWSKI

Przypisy

1. Jerzy Sikorski, „Dwa Ratusze” [w:] „Kalendarz Olsztyna 2001”, [Olsztyn 2000], s. 159.
2. Zasady likwidacji cmentarzy regulowało rozporządzenie gabinetowe króla Prus z 3. stycznia 1830 r.; por.: „Staatslexikon”, Freiburg im Breisgau 1910, s. 275 (hasło: „Kirchhöfe. III. Einweihung; Entwiehung”).
3. Por.: Arkadiusz Kalinowski, „Cmentarze: ewolucja przepisów w kościelnym ustawodawstwie kodeksowym XX w.”, Pelplin 2001, s. 17.
4. Hugo Bonk [red.], „Geschichte der Stadt Allenstein”, B. IV, Urkundenbuch T.II, s. 531, 1232.
5. Cyt. za: „Encyklopedia kościelna”, T. 3, Warszawa 1874, s. 436 (hasło „Cmentarz”).
6. Cyt. za: Stanisław Piechocki, „Ratusz w Olsztynie”, Olsztyn 2001, s. 23.
7. O ustawieniu moździerzy por.: „Gazeta Olsztyńska” z 8.02.1918; o ich usunięciu – „Gazeta Olsztyńska” nr 159 z 12.07.1922: „Przed ratuszem w Olsztynie, gdzie stały dawniej armaty kwitną obecnie kwiaty. Miły to widok dla oka i szkoda, że miasto dopiero niedawno zdecydowało się na usunięcie tych narzędzi mordujących niesmak przed ratuszem”.
8. Stadt- u. Kreissparkasse powstała w 1922 z połączenia Powiatowej i Miejskiej kasy Oszczędnościowej (ta zał. została w 1885 r.). Funk. s. 400. W ścianie piwnic ratuszowej dobudówki znaleziono w 1996 r. cynową tubę zawierającą akt erekcyjny, dokumenty i pamiątki z 1936 r.; por.: Piechocki, op. cit., s. 90–91. Znalezisko wydaje się wskazywać właściwą datę powstania tej części ratusza.
9. APO, Magistrat Allenstein, sygn. 259/98
10. Por.: APO, Finanzamt Allenstein, sygn. 630/11. Kamienica zajmowała 543 m kw powierzchni zabudowanej. W 1938 r. lokale w budynku zajmowało 14 najemców.
11. Czytając krótką notatkę w „Wiadomościach Mazurskich” pomyśleć by można, że nie tylko wojska sowiec-

- kie brały udział w walkach o Olsztyn: „Wczoraj rano w asyście duchowieństwa oraz przedstawicieli Wojska Polskiego oraz Armii Czerwonej odbyła się na pl. Wolności uroczysta ekshumacja zwłok dwóch polskich i dwóch radzieckich oficerów, poległych podczas walk z Niemcami w Olsztynie”; por.: „Nowe osiągnięcia Olsztyna. Pierwsze tramwaje ruszą na pewno 1 Maja”, „Wiadomości Mazurskie” nr 89 z 14.04.1946. Pierwsze jednostki Wojska Polskiego (9. Zapasowy Pułk Piechoty) dotarły tymczasem do Olsztyna dopiero 4. maja 1945 r. Zagadka „polskich grobów” pod ratuszem warta jest wyjaśnienia.
12. Nocą z 8 na 9. maja 1945 mieszkańców Olsztyna poderawała na nogi bezładna strzelanina żołnierzy sowieckich. Na wiecu urządzonym pod ratuszem o godz. 14 następnego dnia wieść o kapitulacji Niemiec przekazał zgromadzonym Pełnomocnik Rządu RP płk. dr Jakub Prawin; por.: „Przed dwoma laty. Olsztyn w dniu kapitulacji. Wspomnienia pierwszych pionierów”, „Życie Olsztyńskie” nr 9 z 9.05.1947.
13. „Do gmachu ratusza jak codziennie ze wszystkich rozgałęzień naszego olsztyńskiego „Place D’Etoile” zdążają ludzie z teczkami, wysiadają z tramwajów, a magistracka winda przenosi urzędników w górne regiony gmachu”; por.: „Jak w niedzielę 21 września pracował Olsztyn na odbudowę Warszawy” [w:] „Życie Olsztyńskie” nr 144 z 22.09.1947.
14. APO, Zarząd Miejski w Olsztynie 1945–1950, Dokumentacja techniczno-kosztorysowa na remont budynków..., sygn. 411/337. Nie sygnowany plan przebudowy pl. Wolności wykonany został na kalce technicznej i dołączony do dokumentów Wydz. Techn. ZM z marca 1946. Późniejsza al. Zwycięstwa nosi tu jeszcze nazwę ul. Mragowiusza [pisownia oryg.]. Decyzja Zarządu Miejskiego zmieniająca nazwę m. in. tej ulicy podjęta została 30. kwietnia 1946, a ogłoszona dopiero 4. sierpnia 1946 r. Plan reprodukowany jest w niniejszym artykule – por. okładka.
15. „Wiadomości Mazurskie”, nr 89 z 14.04.1946.
16. Por.: Rafał Bętkowski, „Nie tylko tramwaje” cz. 2 [w:] „Debata” nr 29(29)/2010, s. 44 (fotografia z uroczystości uruchomienia tramwajów w dn. 30.04.1946).
17. „Dzień Olsztyński”, „Życie Olsztyńskie” nr 145 z 23.09.1947.
18. Por.: Rafał Bętkowski „Targ Rybny – metamorfozy”, „Debata” 8 (11)/2008, s. 22–24. Skorygować muszę podaną tam datę rozbiórki ruin kamienicy przy ul. Staromiejskiej. Nie nastąpiło to w latach 1946–47, wtedy bowiem plany odnośnie tego miejsca nie były jeszcze sprezywane, lecz dopiero wiosną 1948 r.
19. „Komedialny pomyłek czyli nowe targowisko. Jak Olsztyn podnosi swój poziom kulturalny”, „Wiadomości Mazurskie” nr 93 z 19.04.1946. Targowisko przeniesiono wtedy na pl. Pułaskiego.
20. Por.: APO, Zarząd Miejski w Olsztynie, sygn. 411/4, protokół posiedzenia MRN z 11.05.1946.
21. „Życie Olsztyńskie”, nr 91 z 31.07.1947.
22. „Al. Zwycięstwa reprezentacyjną ulicą, w związku z przesunięciem ośrodka dyspozycyjnego Olsztyna”, „Życie Olsztyńskie”, nr 77 z 19.03.1949.
23. „Olsztyn, wiodące miasto (2). Poprawki urbanistyczne, które można i należy wykonać”, „Życie Olsztyńskie” nr 254 z 3.11.1946. Autor pochwalil jeszcze jeden tylko plac w Olsztynie – ten przed bud. rejonu.
24. „Życie Olsztyńskie”, nr 258 z 30.10.1969.
25. „Roboty drogowe rozpoczęte”, „Gazeta Olsztyńska” nr 76 z 31.03.1971.
26. „Do 22 Lipca plac przed ratuszem będzie przebudowany”, „Gazeta Olsztyńska” nr 136 z 10.06.1971.
27. „Zmodernizowany skwer przed ratuszem w ocenie społeczeństwa”, „Gazeta Olsztyńska” nr 194 z 17.08.1971. Obok kasetonów z kwiatami w 1978 r. ustawiono rzeźbę Kazimierza Zielińskiego „Macierzyństwo”.
28. „Schody zamiast tarasów pod olsztyńskim ratuszem”, „Gazeta Wyborcza” 27–28.12.2008 (dod. olsztyński).



Powyżej: Plac Jana Pawła II w 1920 r., fragment pocztówki ze zbioru Waldka Kunczika. Po lewej ul. 11 Listopada (Zeppelin-Str.) z zamykającym jej perspektywę budynkiem Schloss-Café. Na pierwszym planie skwer przed gmachem Nowego Ratusza, urządzony na miejscu najstarszej części świętokrzyskiej nekropolii. Przy wiodących do ratusza schodach rosyjskie „moździerze”. Z tyłu kamienica wdowy Rehfeld, zajmująca parcele u zbiegu ul. 11. Listopada oraz Wyzwolenia. Na parterze funkcjonował w tym czasie „Kaiser’s Kaffee-Geschäft” (na rogu po stronie lewej) oraz „Köppesche Buch-, Papier- u. Musikalienhandlung” – działająca tu w l. 1918–29 księgarnia połączona ze sklepem art. papierniczych i muzycznych oraz galerią sztuki (na wprost, z przesłoniętą witryną). Jej właściciel, Paul Köppe, był założycielem „Stowarzyszenia Przyjaciół Sztuki”, które urządzało tutaj wystawy sztuki, wieczory literackie, dramatyczne i muzyczne, wydawał też ambitny periodyk „Kultur und Kunst”.



Plac Jana Pawła II na fotografii z atelier braci Jesionowskich (zbiór p. Ireny Jesionowskiej). Zdjęcie wykonane zostało w dniu uroczystego ingresu ks. infułata Teodora Benschka 14. października 1945 r. Pokazuje bramę triumfalną, ustawioną przy placu u wylotu obecnej al. Piłsudskiego. W prześwicie dostrzec można mogiły wojenne na skwerze przed ratuszem. Z tyłu po lewej wypalone mury kamienicy wdowy Rehfeld.



Pochodzący z I połowy 1946 r. projekt przebudowy placu przed ratuszem ze zbiorów Archiwum Państwowego w Olsztynie (Zarząd Miejski w Olsztynie 1945–1950, sygn. 411/337). Celem pomieszczenia większej liczby ludzi podczas urządzanych tu masowych imprez plac zamierzano poszerzyć. Na miejscu rozebranych domów u zbiegu ulic Wyzwolenia i 11. Listopada (tu nazwana „ul. 22-go Lipca”) oraz u wylotu ul. Pieniężnego powstać miały podcieniowe galerie (kolor czerwony). Po prawej widać narys przedwojennej zabudowy przy początkowym odcinku ob. al. Piłsudskiego (wtedy jeszcze „ul. Mrongowiusza”). Ruiny kamienicy wdowy Rehfeld usunięto w połowie 1947 r., do końca tego roku oczyszczono z gruzów teren na rogu ul. Pieniężnego. Ostateczne usunięcie ruin i poszerzenie al. Piłsudskiego nastąpiło w 1949 r. Południową pierzeję tego odcinka ulicy zabudowano ponownie w 1965 r. („Wars i Sawa” oraz „Dukał”). W 1967 r. powstał „Okrągłak” na rogu ul. Pieniężnego. W tym samym roku rozebrano budynek kina „Capitol”, ostatnią pozostałość po hotelu „Deutsches Haus”, w 1972 r. – kamienicę u wylotu ul. 1. Maja. Ostatnią architektoniczną zmianą było wzniesienie tzw. „Czarnej Perły” na części parceli d. kamienicy Rehfeldów w r. 2002. Jej parter zajmuje sklep „Alkohole Świata & Whisky House”.